Kurjer literacko-naukowy

ROK III. WYCHODZI W NIEDZIELĘ JAKO BEZPŁATNY DODATEK NR. 44



# Irlandzka rewolucjonistka o polskiem nazwisku

## ANGIELSKA SZLACHCIANKA

Anglicy twierdzą od niepamiętnych czasów, że ich najzacieklejszymi wrogami na terenie Irlandji są ci rodacy, którzy przeszli na stronę tubylców. Dodają, że narodowy ruch irlandzki nigdyby nie był stał się groźny, gdyby nie ci właśnie wynarodowieni Anglicy. Irlandczyk jest mało poważny i mało wytrwały, brak mu też talentu organizatorskieko. Dopiero jednostki, należące do rasy anglosaskiej, które poświęciły się sprawie Erynu, potrafiły poprowadzić go do zwycięstwa.

Nie będę tu rozpatrywał tej teorji. Za jej trafnością przemawiałaby postać Konstancji Markiewiczowej. Pochodziła ona ze szlacheckiej rodziny, zdawna osiadłej w irlandzkiem hrabstwie Sligo i była córką Sir Henryka Gore-Booth, a przyszła na świat w pałacu na Carlton House Terrace, a więc w najdostojniejszej dzielnicy Londynu, w pobliżu pałacu królewskiego. W 48 lat później miała powrócić do stolicy Anglji, przyjeżdżając na Euston Station pod opieką dwóch policjantek, a zdążając do więzienia w Aylesbury na dożywotni pobyt.

## MAŁŻEŃSTWO

Młodość Konstancji upływała normalnie, jak młodość przeciętnej panny z wyższych sfer angielskiej średniej szlachty. Tylko odznaczała się ona już w tym okresie nieustraszoną odwagą, której dowody dawała jako amazonka, szczególnie przy polowaniu par force. Piękna, subtelna, pełna żywości umysłu, wywierała na otoczenie niezwykły urok. Sławili ją obaj najwięksi poeci współczesnej Irlandji, William Butler Yeats i George Willian Russel, lepiej znany pod pseudonimem A. E., którego wiersz „Do Konstancji w celi więziennej" należy do jego najsławniejszych utworów.

Było w obejściu i pojęciach Konstancji Georginy Gore-Booth coś niekonwencjonalnego. Czuła się ona źle w wykwintnych salonach Londynu. Minęła jej trzydziestka — a zamożna i przystojna panna jakoś nie wychodziła zamąż. Zaczęła interesować się sztuką. Studjowała malarstwo w Londynie, później wyjechała do Paryża — i tam spotkała polskiego hrabiego, Kazimierza Józefa Dunin Markiewicza. Młody człowiek był od niej o sześć lat młodszy, choć był już wdowcem i ojcem synka. Malował, pisał sztuki. ale w gruncie rzeczy był cyganem artystycznym i bon vivant'em z demokratycznemi upodobaniami. Jak doszło do małżeństwa między tem dwojgiem, trudno powiedzieć. Konstancja nieraz później mawiała: „Nie wiem, dlaczego Kazimierz mnie poślubił". Pewnego razu Markiewiczowi było tego za dużo — i odparł sucho: „On ciebie nie poślubił". Najwidoczniej uważał, że zaszedł wypadek odwrotny.

## KAZIMIERZ MARKIEWICZ

Być może, iż Konstancję pociągnął do Polaka jego beztroski humor i jego pogarda wszelkiej etykiety. Elegancki i oddany użyciu, czuł on się równie źle w salonach. W Dublinie żona, doznając coraz większych rozczarowań w pożyciu, zbliżała się coraz bardziej do nacjonalistów irlandzkich, z którymi stosunki związała była już w Paryżu, i stawała się coraz poważniejsza. Mąż obserwował irlandzką żywość umysłu, samochwalstwo i blagę, bawiąc się tem wszystkiem. Yeats nazywał go barbarzyńcą. Wesoły Polak niewiele sobie z tego robił. Lubił chodzić po barach, gdzie nie gardził żadnem towarzystwem. Jego ulubionymi współbiesiadnikami byli polski krawiec i irlandzki cieśla. Z tem wszystkiem imponował zawsze arystokratycznemi manierami.

Pisał również utwory dramatyczne, w których w pierwszych latach małżeństwa Konstancja grywała. Interesował się żywo teatrem i kusił o laury reżysera. Był zwolennikiem realizmu. Przy wystawieniu sztuki Galsworthy'ego Sizife (Bój), osnutej na strajku, użył jako statystów prawdziwych robotników z doków. Niestety i oni byli realistami. W wielkiej scenie zbiorowej polała się krew na scenie i później jeden z uczestników oświadczył: „Nic to nie szkodzi zostać aktorem na parę wieczorów. ale dalibóg, nie dam się zabić za parę szylingów.

## REWOLUCJONISTKA I FILANTROPKA

Życie rodzinne mimo przyjścia na świat syna nie dawało Konstancji zadowolenia i z czasem przestała ona zupełnie troszczyć się o męża i dziecko. Absorbowała ją polityka. Nacjonalizm irlandzki szedł w parze z radykalizmem społecznym i hrabina współpracowała z grupą socjalistów Conolly'ego.

Czasy były burzliwe. Południowa, rolnicza celtycka i katolicka Irlandja coraz głośniej domagała się samorządu (Home Rule) i dzięki temu, że posłowie irlandzcy stanowili w Izbie Gmin języczek u wagi, miała duże szanse jego osiągnięcia. Lecz północna Irlandja, fabryczna, silnie skolonizowana przez Anglików, postanowiła się temu przeciwstawić i stworzyła silne formacje ochotnicze, gotowe do narzucenia południowi siłą swej woli. Wobec tego i na południu zaczęto tworzyć armję ochotniczą. Rząd angielski, skrępowany konstytucją, nie mógł przebroić zupełnie ani jednej, ani drugiej strony. Zdarzały się starcia i zamachy, a wszyscy czuli, że powietrze jest pełne elektryczności i należy oczekiwać jeszcze silniejszych wstrząśnień. Angielscy szowiniści z Ulsteru oddali Irlandczykom przysługę swem nieprzejednaniem. Dostarczyli im pozoru do przygotowania zbrojnej walki o wolność.

P. Markiewiczowa brała we wszystkiem żywy udział. Organizowała demonstracje i zamachy, agitowała, osobiście ćwiczyła skautów w strzelaniu, ażeby można ich było użyć w przyszłej walce. Czas wolny od tych zajęć poświęcała pracy społecznej. Nie należała do tych socjalistów, którzy swych haseł używają do politycznego wybicia się na wierzch. Odwiedzała najuboższe dzielnice Londynu, pielęgnowała chorych, gotowała obiady dla ubogich. Fundusze, zebrane na te cele. nie wystarczały, więc ustawicznie dokładała ze swych coraz mniejszych dochodów.

## KRWAWA WIELKANOC

Wojnie domowej między południem, a północą Irlandji zapobiegł wybuch innej, większej wojny. Ochotnicy ulsterscy poszli na pola Francji. Irlandczycy natomiast zaczęli myśleć o powstaniu przeciw W. Brytanii, wytężającej wszelkie siły przeciw Niemcom.

Sir Roger Casement, dotychczas brytyjski urzędnik konsularny, podążył z Nowego Yorku do Berlina, ażeby porozumieć się z tamtejszemi sferami rządowemi o pomoc dla przyszłego powstania. Niemcy skwapliwie pochwycili sposobność wywołania dywersji pod samym bokiem Anglji. Powodzenie ruchu otworzyłoby przed nimi możliwość usadowienia się w Irlandji i zrobienia z niej podstawy operacyjnej dla inwazji.

Wybuch miał nastąpić w poniedziałek Wielkanocy r. 1916. Ochotnicy irladzcy otrzymali w rozkazie zapowiedź, że w ten dzień „odbędą się bardzo zajmujące ćwiczenia". Atoli los nie sprzyjał przedsięwzięciu. Naładowany materjałem wojennym statek niemiecki wpadł w ręce angielskich okrętów, patrolujących wzdłuż wybrzeży Irlandji. Sir Roger Casement przybył osobno, łodzią podwodną, ale nie zdołał wylądować w oznaczonem miejscu. Dwa samochody, które po niego wysłano, wjechały w morze i zatonęły. Naczelnik powstania dostał się gdzieindziej na ląd — jedynie poto, aby zostać aresztowanym.



Konstancja Markiewicz

Zrażona temi wstępnemi niepowodzeniami, naczelna komenda ochotników irlandzkich odwołała pierwotne rozkazy, odkładając powstanie do sposobniejszej chwili. Lecz nie wszyscy usłuchali. Uderzono na słabą załogę angielską i opanowano główną pocztę, oraz szereg innych gmachów w centrum Dublinu. Pojawiły się jednak wnet nowe oddziały rządowe, zaopatrzone w artylerję i rozszalała nierówna walka uliczna.

P. Markiewiczowa należała do bezwzględnych zwolenników walki. Jeżeli jednak pada na nią część winy wywołania rozlewu krwi, to w okropnych dniach 24 do 29 kwietnia 1916 wykazała heroiczną odwagę i pogardę śmierci. — Wśród piekła ognia dział angielskich świeciła przykładem, strzelając i rzucając granaty ręczne, zagrzewając do oporu i kierując kontratakami. Prawdziwym cudem wyszła z boju żywa i bez rany, lecz wraz z innymi przywódcami powstania dostała się w ręce nieprzyjaciela, rozjątrzonego oporem, zresztą zdecydowanego bezwzględnie stłumić złowrogi ruch, który mógł mieć nieobliczalne następstwa.

Piętnastu przywódców rozstrzelano. Konstancję Markiewiczową skazano również na śmierć, jak brzmiał wyrok, „za wzięcie udziału w zbrojnym buncie i w wojnie przeciw Jego Królewskiej Mości". Ze względu na płeć ułaskawiono dzielną kobietę — na dożywotnie więzienie. — Znosiła swój los z godnością i spokojnie. W Aylesbury współwięźniowie otaczali ją sympatją, której dowodem może być następujący komiczny wypadek. Markiewiczowa poznała tam osławioną zbrodniarkę, zwaną Chicago May. Po latach spotkały się na publicznym koncercie w Filadelfji i May serdecznie przywitała się ze starą znajomą, co wywołało ogólną konsternację.

Podczas pobytu w Aylesbury doświadczyła Markiewiczowa pierwszego dowodu wdzięczności Irlandczyków. Demonstracyjnie wybrano ją posłanką do Izby Gmin (jako wogóle pierwszą kobietę).

## KONIEC ŻYCIA

Podczas przesłuchania owych 15 nieszczęsnych wodzów „powstania wielkanocnego", jak do dziś dnia nazywają ten krwawy epizod, kilku z nich oświadczyło z całą otwartością, że nie wierzyli w powodzenie ruchu, ale traktowali go jako ofiarę dla przyszłości Irlandji. I nie pomylili się. W kilka lat potem ojczyzna ich uzyskała — coprawda po szeregu dalszych ofiar — już nie samorząd, ale prawie zupełną niezawisłość. Wówczas otworzyły się wrota więzień i przed skazańcami irlandzkimi. Konstancja Markiewiczowa odzyskała wolność.

Pozostała nadal niestrudzoną pracownicą społeczną. Gdy, licząc lat 59, zachorowała śmiertelnie, zaprotestowała przeciw specjalnej opiece lekarskiej i kazała przewieźć się do szpitala dla ubogich, tam też umarła.

Mąż przeżył ją o lat pięć, które spędził w Polsce — również wyzwolonej.

## DWA ŻYCIORYSY

Są dwie biografje Konstancji Markiewiczowej. Jedna, napisana przez jej starą przyjaciółkę Miss Esterę Roper, wyszła jako wstęp do listów, pisanych z więzienia w Aylesbury do siostry Ewy. Autor nowej książki o p. Markiewiczowej, powieściopisarz Sean O'Faolain zarzuca swej poprzedniczce skłonność do zbytniej idealizacji. Sam idzie prawdopodobnie daleko w przeciwnym kierunku, powtarzając skrzętnie, cokolwiek ktoś powiedział niepochlebnego o jej charakterze czy inteligencji. Oskarża wogóle szlachtę angielskiego pochodzenia, z której łona wyszli najwięksi rewolucjoniści irlandzcy. Powtarza za A. E. (Russellem) zdanie, że „była, jak dziecko, które wsadza w ziemię kwiaty bez korzonków, aby mieć gotowy ogródek". Stwierdza, że ludność Dublinu czuła w Markiewiczowej zawsze kogoś obcego i nieraz z niej żartowała. Sadzi, że Markiewiczowa była bardziej irlandzką od Irlandczyków, że zanadto wierzyła temu co głosili, lecz w co oni sami nie wierzyli. Wyraża się też lekceważąco o jej inteligencji.

O'Faolain przyznaje natomiast swej bohaterce zapał, bezinteresowność, szczerość, odwagę i poświęcenie. Tych rysów jej charakteru nikt zresztą nie ośmielił się podawać w wątpliwość. O jej osobistym wdzięku była już mowa powyżej.

Być może, iż Konstancja Markiewiczowa mierzyła siły na zamiary i zbyt prędko chciała dojść do celu, nie liczyła się z praktycznemi względami i chłodną kalkulacją szans, nie dbała o ofiary. Ale też nie szczędziła i siebie samej, nie chowała się za drugich, owszem, szła w pierwszych szeregach walczących. Jeżeli zaś mamy sadzić postaci historyczne wedle wyniku ich działalności, to pamiętajmy, że Irlandja jest dziś wolna.

WŁADYSŁAW TARNAWSKI.

# W Kruszwicy nad Gopłem

Wolno wlokący się pociąg podmiejski wiezie mię ku odległej o kilkanaście kilometrów od Inowrocławia stacyjce. Wysiadam. Maleńkie zabudowania dworca niczem nie zdradzają przynależności do pierwszej stolicy Polski, prastarego grodu kujawskiego, Kruszwicy.

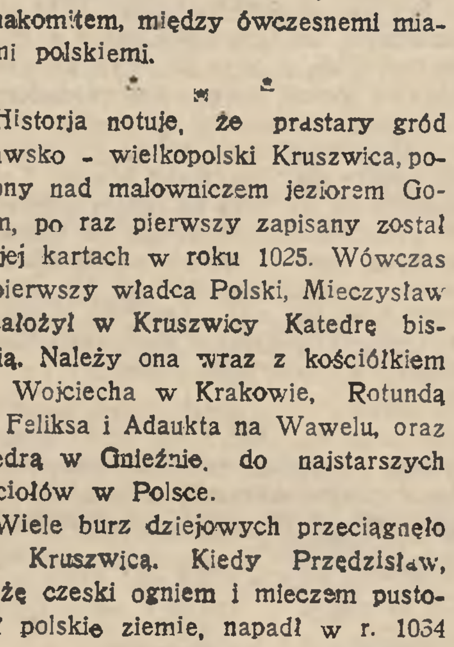
Owiane czarem legend i podań miasteczko, w którem przed lat tysiącem dokonały się narodziny państwa polskiego, interesowało już przed wiekami naszych kronikarzy, a później historyków. Długosz wyjaśnia założenie Kruszwicy w ten sposób:

Popiel chcąc potomności zostawić pamiątkę panowania swego, na równinach daleki widok mających, nad jeziorami i bagnami nowy zamek z nowem miastem założył i nazwał Kruszwicą; do niej całe siedlisko przeniósł, robiąc z niej główną stolicę swego państwa. Skutkiem tego nowe miasto wypełniwszy się bez trudności mnóstwem kupców i obywateli, stało się sławnem i znakomitem, między ówczesnemi miastami polskiemi.

* * *

Historja notuje, że prastary gród kujawsko - wielkopolski Kruszwica, połączony nad malowniczem jeziorem Gopłem, po raz pierwszy zapisany został na jej kartach w roku 1025. Wówczas to pierwszy władca Polski, Mieczysław I. założył w Kruszwicy Katedrę biskupią. Należy ona wraz z kościółkiem św. Wojciecha w Krakowie, Rotundą św. Feliksa i Adaukta na Wawelu, oraz katedrą w Gnieźnie, do najstarszych kościołów w Polsce.

Wiele burz dziejowych przeciągnęło nad Kruszwicą. Kiedy Przedzisław, książę czeski ogniem i mieczem pustoszył polskie ziemie, napadł w r. 1034 i na Kruszwicę. W pół wieku później Zbigniew, syn Władysława Hermana, z nieprawego łoża, wypędzony przez ojca, zbiegł do Kruszwicy i opanował zamek. Nadciągnęli ludzie królewscy. Zbigniew odważnie wyszedł ze swymi oddziałami przeciw nim. Zawiązała się krwawa potyczka nad Gopłem. Wojsko królewskie, przeważając liczebnie wpędziło stronników Zbigniewa do których należeli również mieszczanie kruszwiccy do jeziora.



„Mysia wieża"

O potyczce tej piszą kronikarze, że prócz zasłanych trupami pól okolicznych, Gopło napełniło się martwemi ciałami, a woda, krwią zarumieniona, przez długi czas jeszcze zatruwała ryby. Zbigniew schronił się po przegranej bitwie na zamek, skąd wywieziony został przez zwycięzców do warowni w Sieciechowie i osadzony w więzień podziemiach. Gniew królewski spadł również na mieszczan kruszwickich. Miasto wydane zostało na łup żołdactwu. Od tej pory Kruszwica zaczyna upadać. Mimo to samo miasto odgrywało jeszcze przez długi czas wielką rolę. Nie prędko przecież zapomniano, że tutaj wstąpił na tron Piast, założyciel potężnej dynastji, że tutaj narodziło się przed wiekami państwo polskie. Toteż w podupadającem miasteczku odbywa się w r. 1149 wielki zjazd książąt, Bolesława Kędzierzawego, jego brata Mieczysława, Ottona II, Fryderyka arcybiskupa magdeburskiego i innych, celem zawarcia przymierza i zapewnienia sobie wzajemnej pomocy. Tutaj wreszcie w roku 1230 miał miejsce fakt historyczny, który zaciężył tak tragicznie nad dalszymi dziejami Polski. W Kruszwicy bowiem Konrad I, książę Mazowsza i Kujaw, nadał potwórnie Krzyżakom ziemię Chełmińską.



Widok z Mysiej Wieży na Gopło

Jeszcze Kazimierz Wielki przypomniał sobie Kruszwicę i zaopiekował się nią. Drewniany zamek kruszwicki zamienił na murowany. Niedługo potem, bo w połowie XV stulecia Kruszwica tak podupadła, że niczem nie różniła się od lichej wioski.

* * *

Osobna wzmianka należy się kruszwickiej kolegjacie, niegdyś katedrze biskupiej. Pierwszym pasterzem, zasiadającym na kruszwickiej stolicy biskupiej, był Włoch Lucidas, przysłany przez papieża Jana XIII, ostatnim zaś, dziesiątym z rzędu, Onoldus. On to w roku 1159 przenosi stolicę biskupią, z chylącej się ku ruinie Kruszwicy, do Włocławka. Z upadkiem miasta podupadała również dawna katedra.

Z początkiem XIX stulecia groziła kompletną ruiną. Do jej restauracji przystąpili Niemcy, starając się oczywiście zetrzeć ze starodawnej świątyni wszelkie ślady historji. To też niewiele do dziś dnia pozostało w tym kościele z czasów dawnej świetności. Romańska chrzcielnica z XII wieku, cenne ornaty nićmi damasceńskiemi tkane szereg szereg starych tablic marmurowych, a na jednej z nich napis: „Przechodniu stań i zastanów się nad starodawnością i zmiennością rzeczy ludzkich. Tu spoczywają dwaj biskupi kruszwiccy, Wincenty i Andrzej Rzymianin, pierwszy z nich czwarty zkolei biskup, w r. 1055, drugi z nich piąty zkolei biskup w r. 1081, życ przestali. Westchnij i powiedz sobie ileż tu dowodów przemawia za starożytnością wiary katolickiej, ileż zabija naleciałości heretyckie. Pomnik ten wystawił, miłością pobożną przejęty ksiądz biskup włocławski i pomorski Wawrzyniec Gębicki w roku 1604".

* * *

Dawniejsze swe znaczenia zawdzięcza Kruszwica położeniu nad jeziorem Gopłem na którem rozwijała się pomyślnie żegluga handlowa. Wszystkie statki z Warty, Prosny, Neru, Widawki itd. płynące do Gdańska, tędy przeprawiać się musiały. Zachowana do dziś dnia ośmioboczna baszta, słynna Mysia Wieża, resztka kruszwickiego zamku, spełniała według niektórych, rolę latarni orjentacyjnej dla żeglarzy. Gdy zaś skutkiem fizycznych przemian — pisze Szajnocha — zmieniła się i zerwała wodnych ścieżek siatka, nie było potrzeba nawet wojen i nieprzyjacielskiej pożogi, a upaść musiała Kruszwica, bo inne warunki gospodarstwa narodowego gdzieindziej stołecznego punktu szukać kazały.

Dzisiaj samotne to miasteczko, liczące około 5 tysięcy mieszkańców, z którego ongiś wypłynęła, na burzliwe fale historji, łódź dziejów naszych, jest celem licznych wycieczek, zwłaszcza młodzieży szkolnej. Zwiedzają one sławną kolegjatę, a dalej Mysią Wieżę, skąd rozpościera się przepiękny widok na miasto i okolicę. **ak.**

# Od Siemieńskiego do Kołaczkowskiego

**Tadeusz Grabowski: „Krytyka literacka w Polsce w epoce realizmu i modernizmu (1863—1933)".** Poznań 1934 (nakładem Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Prace komisji filologicznej tom VI, zeszyt 2. W 8-ce str. 4 nlb. + 317. Cena 10 zł).

Obok literatury religijnej, katolickiej i różnowierczej wieku reformacji i kontrreformacji, drugą specjalnością 60-letniego profesora uniwersytetu poznańskiego jest historia naszej krytyki literackiej. Studja nad nią rozpoczął niezadawalającemi rozprawami o Osińskim i Michale Grabowskim, poczem kolejno ogłaszał wyniki swych badań nad krytyką literacką w czasach romantyzmu (1818—1830), w Poznańskiem w Galicji po r. 1830, dalej o krytyce na emigracji po r. 1850 w kraju, nareszcie zebrane razem w dwu książkach: „Krytyka literacka w Polsce w epoce pseudoklasycyzmu" (1918) i „Krytyka lit. w epoce romantyzmu" (1931).

Tom, który mamy przed sobą, zamyka chronologicznie całość przedmiotu i ogarnia drugą połowę dziejów krytyki polskiej, minionego 70-lecia.

Materjał podzielił autor na 9 rozdziałów. Po dość ogólnikowem wyłożeniu, na czem polegała teorja krytyki realistycznej, charakteryzuje rolę Siemieńskiego, Szujskiego, Tarnowskiego i Tretiaka, jako przedstawicieli „szkoły krakowskiej". Przechodząc do krytyki lwowskiej, kładzie nacisk na filologizm Małeckiego, za którego kontynuatora uważa Pilata i, w dalszym prowadzeniu działania, Nehringa.

Ujawszy zwięźle istotę tainizmu i nastawienie pozytywizmu w zaborze rosyjskim, zaczyna korowód jego przedstawicieli od Kraszewskiego poprzez Spasowicza do Chmielowskiego. Następnie mówi o przenikaniu naturalizmu i reakcji nań, ocenia zasługi Sygietyńskiego na przełomie nowych prądów. I znowu wraca do tainistów, by przez Krzemińskiego, Bema i in. zdążyć do Chlebowskiego, obszerniej stosunkowo traktowanego.

Dążenia impresjonizmu umieszcza autor na dokładniej nieco podmalowanem tle ogólnych teoryj estetycznych modernizmu. Na plan pierwszy wysuwa Witkiewicza, poczem dopiero rozwodzi się o Miriamie i Porębowiczu, by zatrzymać się dłużej nad Matuszewskim, rozgłośicą i zasięgiem jego zainteresowań, tudzież estetyką w duchu Lipsa. Przy nim dopiero grupuje Jellentę, Langego, Gostomskiego, niby satelitów.

Jako reprezentantów zwrotu do idealizmu lokuje autor w jednym rozdziale i na jednej linji Przybyszewskiego, Brzozowskiego i Zdziechowskiego, a za nimi umieszcza w dalszej perspektywie Feldmana, Bcya - Wasilewskiego. Wreszcie przedostatni rozdział poświęca krytyce neofilologicznej i zwiastunem nowej ery. Tu znalazło się miejsce dla profesorów od Kallenbacha poprzez Chrzanowskiego do Brücknera i młodszych z Pigoniem i Kleinerem, kończąc zaś na Kołaczkowskim i — Czachowskim...

„Synteza dziejów krytyki polskiej" na 9 stronicach uwydatnia najpierw coraz większe w niej zajęcie dla jednostek twórczych, przeciwstawia historyzm krakowsko - lwowski i pozytywizm warszawski. Natomiast modernizm domaga się badania sposobów twórczych, entuzjazmuje się dla kształtu i pierwiastka wiekuistości w sztuce, szuka tzw. natury twórczej. Estetykę wcielił do antropologji, a zagadnienie stylu uczynił kwestją społeczną. Postawę i świadomość moralną kazał łączyć ze zmysłem filozoficznym. Dziejami krytyki rządzi, wedle autora, pewne immanentne prawo rozwoju. Krytyka literacka w kontraście do historji literatury jest i ma być wyrazem osobistych przeżyć i kieruje się celami społecznemi. Historyk, a za nim filolog, nie współdziała z epoką, ale ją bada.

Tyle co do treści książki Grabowskiego. Miał on wszędzie drogę utartą, teren przeorany. Nie stąpał po omacku dysponując takim kompetentnym przewodnikiem, jak Chmielowskiego „Dzieje krytyki lit. w Polsce" (1902), a nadto obfitym materjałem, zebranym przez Feldmana w ostatnim tomie jego „Piśmiennictwa pol. (wyd. III i VI). Gdy Chmielowski w swych ocenach przykładał ściśle miarę tainowską, jako kamień probierczy, — to Feldman patrzył na krytykę oczyma subjektywisty i zarazem impresjonisty entuzjastyczne-go herolda modernizmu.

Grabowski nie ma własnej doktryny, jako krytyk i dzięki temu łatwiej mu zachować objektywizm. Na areopag sędziów literatury wchodzi bez oficjalnej marki jakiegoś kierunku, nie hołduje jednej szkole, czy pojedynczemu mistrzowi, jest eklektykiem i to mu zapewnia swobodną rękę w stosunku do osób i teoryj. Metodę obrał syntetyczną, zawsze przedewszystkiem zabiega o wydobycie rysów indywidualności omawianych krytyków, o pełne uchwycenie znamion ich naukowej osobowości. I to mu się zazwyczaj udaje, mimo zwięzłości, powiedziałbym nawet rzadkiej ekonomji słowa, a może właś-

nie dzięki niej. Skupia to, co jest istotnie charakterystycznego.

Nie mając mrówczej drobiazgowości Chmielowskiego, ani polotu szczęśliwej intuicji Feldmana, wyrównuje to skondensowaniem treści, rzetelnie naukową terminologią, dobrą dyscypliną pojęć, nie rozdrabnianiem się na długie cytaty obcych myśli, czy streszczenia. Uczeń Tarnowskiego, oddaje sprawiedliwość sponiewieranej szkole krakowskiej", stosując zasadę „suum cuique". Rehabilituje Tretiaka, którego łącząc z Tarnowskim, tak postponowali Feldman i Brzozowski.

Bezstronnie wydobywa cienie i światła filologicznej szkoły lwowskiej", czy mając racjonalnie jej ojcem — Małeckiego. Wśród tainistów podnosi wyżej mało dziś znanego Kaszewskiego, natomiast Spasowicza traktuje jako zdolnego publicystę. Profil Chmielowskiego jako badacza wypadł nietyle wyraziście, ile przekonywująco. Z mniejszych krytyków wysuwa przesadnie na piedestał Chlebowskiego, który słusznem zdaniem Korbuta był nie historykiem — badaczem Literatury, ale raczej pisarzem — popularyzatorem i wychowawcą. Metodą naukową nie mógł się ani zdaleka równać z Chmielowskim.

Z wielką predylekcją omawia Grabowski genezę idei estetycznych modernizmu. Uważanego dotąd za pionjera naturalizmu, Witkiewicza, umieszcza na czele propagatorów nowych prądów indywidualizmu i antyrealizmu. Głównego szermierza modernizmu widzi jednak w Matuszewskim, jako wyrazicielu przełomu ku estetyzmowi czystemu. Z przydzieleniem Przybyszewskiego i Boya do grupy idealistów nie można się zgodzić. Gostomskiego umieścilibyśmy w jednym rozdziale z moralistą Zdziechowskim, dodając tu pominiętego A. Mazanowskiego. U Brzozowskiego trafnie wytyka neomarksitowski punkt widzenia, impresyjność i intuicjonizm. Doskonale charakteryzuje Zdziechowskiego, jako pokrewnego Brunetière'owi.

Słusznie obniża autor Millera i Pomirowskiego, zbyt pobłażliwie traktuje Boya. Rozdział o krytyce neofilologicznej ma znaczenie przeważnie tylko subjektywne. Żyjących krytyków obdarzono tu samemi prawie superlatywami, gładkiemi i miłemi frazesami bez uzasadnienia rzuconemi. Nie tyczy się to ustępów o Kallenbachu, Windakiewiczu, Bruecknerze i Kleinerze, które czyta się z satysfakcją. Podkreślenia wymaga ustęp o niedocenianym zwykle Z. Łempickim.

Naogół biorąc książka Grabowskiego mimo pewnej kapryśności w rozkładzie materjału i innych usterek, dostrzegalnych dla fachowca, stanowi poważny wkład do naszej literatury naukowej. Owoc to erudycji nieprzeciętnej i pracy długiej, mozolnej. Znać liczenie się z dorobkiem dawniejszych badaczy, ostrożność chwalebną w rewizjoniźmie tak modnym, umiar i rozwagę zdania odważonego, przemyślanego. Krytycyzm autora, pomijając zbyt bliską mu współczesność, nie zawodzi go, uprzedzenie nigdy mu sądu nie mąci. Może być zadowolony i on i my, czytelnicy, że studja długoletnie nad dziejami naszej krytyki tak pomyślnie doprowadził do końca.

**CZESŁAW LECHICKI**

# Zapomniane cmentarze lwowskie

Dzień Zaduszny, święto zmarłych, najsmutniejsze święto w roku, kiedy wicher jesienny strząsa na groby ostatnie zeschłe liście... Płoną na cmentarzach lwowskich tysiączne światełka, drżą w zimnym wietrze białe chryzantemy, te jesienne, ostatnie kwiaty. Tłumy ludzi przewijają się przez cmentarze Łyczakowski i Janowski, by w ten jeden dzień w roku nawiedzić tych, co snem wiecznym spoczęli na „Bożej roli".

W ów dzień myśl nasza leci ku dwom innym, zapomnianym już cmentarzom lwowskim: Żółkiewskim i Stryjskim. Cicho na nich, ciemno i pusto, — poznikały nagrobki i pomniki. Nowe się krzewi życie na grobach...

Cmentarz Żółkiewski powstał podobno za czasów Jana Kazimierza, ppodczas panującej we Lwowie morowej zarazy. U stoków góry Zamkowej miała w owym czasie, swój dworek zamożna rodzina mieszczańska Paparów.

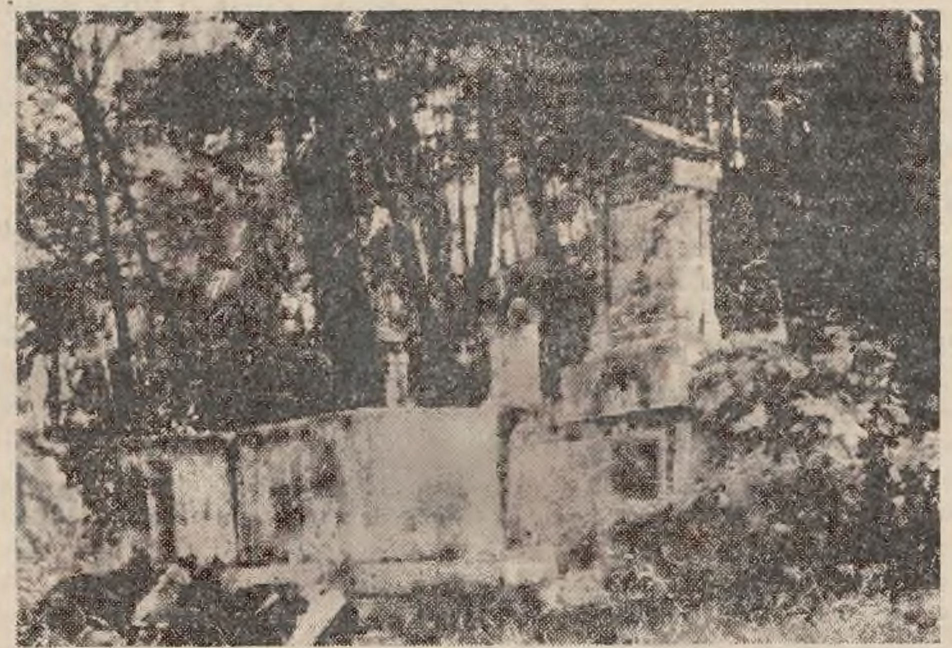
Oni też odstąpili duży kawał swych gruntów miastu na cmentarz, gdzie wkrótce począł wyrastać las mogił. Grzebano na „Paparówce" zadżumionych, zmarłych w czasie epidemji i samobójców. Grzebano ich bezimiennie, — jeden tylko duży krzyż stojący w pośrodku cmentarza przypominał o jego przeznaczeniu.

Dopiero po zaborze Galicji staje się „Paparówka" właściwym cmentarzem dla całej ludności Lwowa.



Fragment starego cmentarza Stryjskiego

Cesarz Józef II. dekretem z dnia 11 grudnia 1783 zakazuje grzebania zmarłych w obrębie miasta, w podziemiach świątyń i na cmentarzykach kościelnych, polecając zakładać cmentarze zamiejskie. Wówczas to powstają cztery cmentarze lwowskie: Łyczakowski, Stryjski Żółkiewski czyli dawna „Parapówka".



Resztki cmentarza Żółkiewskiego, dziś w zupełnem opuszczeniu

Cmentarz Żółkiewski rozszerza się stopniowo: w roku 1817 zajmuje już blisko 3000 sążni kwadratowych. Stają na nim liczne grobowce i pomniki, — wśród nich najokazalszy grobowiec Franciszka K'selki, właściciela browaru zmarłego w roku 1831.

W roku tym straszliwa epidemja cholery zbiera we Lwowie obfite żniwo. Umiera na nią 2621 osób, — to też i na cmentarzyku żółkiewskim rośnie wówczas las grobowców.

Szybki jednak rozrost miasta sprawił, że cmentarz żółkiewski już w roku 1856 musiał zostać zamknięty. Na gruntach cmentarnych stanęły nowe zabudowania, zalśniły wstęgi szyn kolejowych... Cmentarz szybko popada w stan zupełnego zaniedbania i upadku. Już w roku 1894 pisze na ten temat Schnür - Pepłowski: „Opuszczony jest cmentarzyk Żółkiewski, przytulony do góry Zamkowej... tylko krzyż rdzawy lub płyta grobowca wychylająca się zpośród traw i kiści, przypominają nam że znajdujemy się na cmentarzyku."

Dziś cmentarz Żółkiewski, zniknął z powierzchni ziemi — i z pamięci mieszkańców miasta.

Niemniej smutne koleje losu przechodził i drugi cmentarz Stryjski. Założony naskutek wspomnianego powyżej dekretu ces. Józefa II, obejmował pierwotnie niewielki stosunkowo szmat ziemi, po lewej stronie drogi Stryjskiej — między dzisiejszemi ulicami: Stryjską, H. Dąbrowskiego Pułaskiego i drogą wiodącą od pomnika Kilińskiego do bocznej bramy wjazdowej parku.

Cmentarz ten wkrótce okazał się za małym. To też już w roku 1823 zostaje zupełnie zamknięty, — a na jego miejsce miasto zakłada nowy, po prawej stronie drogi stryjskiej.

I tu powtarza się podobna historja: zaniedbane, opuszczone grobowce niszczeją, porastają chwastami, cmentarz zamienia się w pustkowie... W roku 1879 miasto przystępuje do założenia swego najpiękniejszego parku. Wówczas to teren cmentarny wcielono w obręb nowego parku, oczyszczono, uporządkowano, wytyczono ścieżki i aleje.

A dziś przechodzień spacerujący przez piękną aleję grabową nie pamięta już o tem, że w tem miejscu przed pięćdziesięciu kilku laty sterczały jeszcze samotne, pochylone krzyże i bielały się płyty grobowców.

Ostatnie płyty grobowe, usunięte przed powszechną Wystawą Krajową w r. 1894 użyte zostały przy budowie imitacji starej baszty w parku Kilińskiego.

* *

Nowo założony w r. 1823 cmentarz na wzgórzu stryjskiem, obejmujący początkowo przestrzeń tylko 8 morgów, miał od początku nieszczególną opinję. Utrzymywano, że założony został na gruncie podmokłym, że na dnie grobów stoi woda... Toteż niezbyt chętnie grzebano tam zmarłych, przeważnie biedaków, dzieci-podrzutki, zbrodniarzy i samobójców. W roku 1849, w czasie przemarszu wojsk rosyjskich na Węgry, wyrosły na stryjskim cmentarzu liczne bezimienne grobowce rosyjskich żołnierzy, zmarłych na zaraźliwe choroby, — co jeszcze silniej podsyciło uprzedzenie mieszkańców miasta do tego cmentarza.



Gdzie niegdyś stały grobowce, — dziś ciągnie się piękna aleja spacerowa

Po zamknięciu cmentarza Żółkiewskiego (1856 r.) i Gródeckiego (1875 r.) i nowego podziału miasta na rejony, — cmentarz Stryjski nabiera większego znaczenia. Miasto rozszerza go przez dokupienie sąsiadujących gruntów: „Łan Przymiarki" i parceli Szutkowskich.

Celem odciążenia cmentarza Łyczakowskiego ustanawia magistrat taksy i opłaty znacznie wyższe w porównaniu z taksami obowiązującemi dla cmentarza stryjskiego. Rzeczywiście też cmentarz stryjski zapełnia się szybko mogiłami, tak szybko, że zaczyna już grozić brak miejsca.

W roku 1888 powstaje tedy nowy cmentarz: Janowski. Od tej chwili zaczyna się upadek cmentarza Stryjskiego. Już w roku 1890 kroniki miejskie notują, że „na cmentarz nieoparkaniony od strony stawu Pełczyńskiego wbiegają psy i nierogacizna, tudzież różnego rodzaju hatajstwo, znieważając groby nieobyczajnem zachowaniem się".

W trzy lata później, uchwałą z dnia 26 października 1893 Rada miejska zamknęła zupełnie cmentarz stryjski, zarówno dla braku miejsca, jak i ze względów sanitarnych.

Dziś cmentarz stryjski przedstawia smutny obraz zupełnej ruiny i zaniedbania. Nieliczne już tylko kamienne płyty i grobowce niszczeją szybko, dając smutne świadectwo o pamięci i pietyźmie dzisiejszego pokolenia dla zmarłych.

**(kr.)**

## WŚRÓD WYDAWNICTW

**„PRZYRODA I TECHNIKA"** Nr. VIII, za październik, (miesięcznik wydany przez Książnicę Atlas Lwów. Prenumerata roczna zł. 8,40.) Ostatni numer tego czasopisma zawiera dłuższe artykuły i większą ilość notatek, zgrupowanych w szereg działów jak: Sprawy bieżące, Postępy i zdobycze wiedzy. Rzeczy ciekawe, Co się dzieje w Polsce.' Kalendarzyk astronomiczny oraz recenzje książek.

Artykuły zostały poświęcone następującym tematom: o „Falach elektrycznych w przestrzeni" pisze obszernie dr. W. Majewski prof. J. Kostrzewski w artykule o „Żegludze przedhistorycznej" daje ciekawy obraz kunsztu żeglarskiego, wykazując na podstawie wykopalisk, iż równocześnie z wielkim rozwojem floty wikingów powstała i rozwijała się flota słowiańskich plemion nadmorskich Inż. A. B. pisze o bardzo ciekawem, a mało znanem zjawisku „Zapadliska na terenie Inowrocławia", podkopanego dwoma kopalniami soli. Aktualny temat na miesiące jesienne i zimowe porusza M. Puchalik w artykule pt. „Z dziejów techniki oświetlenia" dając historyczny jej rozwój od łuczywa począwszy, a skończywszy na żarówce, lampach neonowych i zimnem świetle.

Numer jest obficie i pięknie ilustrowany.

# Powieść biograficzna

Powieść historyczna, która tak wielkie święciła triumfy i na tak zawrotne wyżyny artyzmu wzniosła się w stuleciu ubiegłem, w naszych czasach wegetuje ledwie, prowadząc najżałośniejszy żywot zpośród wszystkich rodzajów literackich. Uważana przez większość dzisiejszych pisarzy, — poszukiwaczy nowych dróg artystycznych — za przeżytek, za balast tradycjonalistyczny, za dziedzinę niegodną ożywienia świeżym powiewem ducha nowej sztuki, — pozostaje powieść historyczna na uboczu, zdala od wpływów walk i poszukiwań i nowych prądów artystycznych. — Z drugiej jednak strony będąc najklasyczniejszym, najczystszym typem powieści epickiej — siłą rzeczy musi, by zachować swe prawdziwe oblicze, pozostawać w ścisłym związku z tradycjami i dziedzictwem wielkiej sztuki epickiej czasów minionych, to też pisarze, którzy próbują zerwać związek między nią a tą tradycją, z reguły niemal zawsze osiągają wyniki ujemne i zniechęceni rezygnują z dalszych prób w kierunku podciągnięcia powieści historycznej pod uwypuklający się z dnia na dzień coraz wyraźniej szablon „dzisiejszej sztuki“.

Najbardziej charakterystyczną, najpoważniejszą i stosunkowo najwięcej jeszcze udaną próbą zerwania z tradycjami epiki na polu powieści historycznej, było stworzenie nowego rodzaju literackiego, znajdującego się ściśle na pograniczu literatury pięknej i historji — tzw. „żywota romansowego“ (‚a vie romancée) czyli powieści biograficznej. Uprzedzając dalsze wywody trzeba zgóry stwierdzić, że poza rzadkiemi a nielicznemi wyjątkami (rosyjska powieść historyczna, u nas zaś powieści Kossak - Szczuckiej), powieść historyczna dnia dzisiejszego odgrywa taką rolę w literaturze jedynie w formie powieści biograficznej.

Wiele na to złożyło się przyczyn i to zarówno natury czysto estetycznej, artystycznej, jak i socjologicznej i ogólno kulturalnej. Epoka nasza i jej kultura mają charakter typowo ahistoryczny, można nawet powiedzieć — antyhistoryczny. Ani mas czytelniczych ani krytyki literackiej, ani utworów samych, nie pociąga urok czasów zamierzchłych, urok, tkwiący w odmienności, a jednocześnie w kryjącej się za tą odmiennością — niezmienność ludzi przez niewątpliwą sugestywność: siłę i barwność gestu i efektu kostjumowodekoracyjnego, które tak wielkie wrażenie wywierały w epokach minionych, choć i nie tak dawnych jeszcze: w czasach Walter Scotta czy Dumas'a - ojca, Flauberta, Sienkiewicza czy Rostanda.

Nie pociąga więc przeszłość jako taka, — to też, by mogła zainteresować, trzeba ją aktualizować. W jaki sposób? Szukając elementów wspólnych we wszystkich epokach. — Takim elementem najbardziej niezmiennym jest dusza ludzka. Stąd skupienie całej uwagi na psychologji człowieka czasów minionych i to psychologji, naświetlanej tak, by uwypuklała nie to, co go od ludzi dzisiejszych i ich dusz różni, — ale to, co ma z nimi wspólnego. W tej aktualizacji, dokonywanej drogą rozwielmożnienia się psychologizmu kosztem innych elementów literackich, tkwi źródło powodzenia żywiołów romansowych, ale zarazem tai się niebezpieczeństwo: autor powieści biograficznej, grzeszy ambicją aktualizacji przeszłości sam nie zauważa, jak wpada w anachronizm, nietylko psychologiczny, ale i rzeczowy.

* * *

Przeniesienie się w naszych czasach punktu ciężkości tworzenia dziejów na wybitne indywidualności, kierujące zorganizowanemi i zdyscyplinowanemi masami, również decyduje o żywotności żywiołów romansowych: przeszłość interesuje o tyle, o ile wielkie jej postacie dadzą się oglądać, a często i rozumieć drogą porównywania z twórcami dziejów dnia dzisiejszego. I tu znowu niebezpieczeństwo artystyczne, którego nie uniknął prawie żaden wybitniejszy autor powieści biograficznych: wielkie postacie czasów ubiegłych niemal zawsze zanadto stają się podobne psychicznie (a nawet nietylko psychicznie, bo i biografję ich autor demonstruje w odpowiedni sposób) do wybitnych działaczy naszej epoki, przyczem autor, tak skrzętnie chwytający i uwydatniający podobieństwa, zupełnie zapomina o różnicach — wieki, a nieraz i tysiąclecia przestają dla niego istnieć!...

Oprócz aktualizacji przeszłości, którą można albo aprobować albo ganić (to jest kwestja wyłącznie osobistego zapatrywania) — o rozwielmożnieniu się powieści biograficznej decydują inne jeszcze czynniki, świadczące na niekorzyść współczesnych powieściopisarzy historycznych: brak szerokiego oddechu epickiego, niezdolność stworzenia rozległej, szeroko rozbudowanej kompozycji powieściowej brak olimpijskiego, beznamiętnego objektywizmu artystycznego, umożliwiającego patrzenie na ten sam fakt oczyma raz jednego, raz drugiego ze zwalczających się aktorów dramatu dziejowego, — wszystko to każe nowoczesnemu powieściopisarzowi historycznemu — biografiście zwęzić swe dzieło do granic, w których zamykają się dzieje życia i duszy jednego tylko człowieka. — Cała zaś reszta: epika, jej duch i kultura, inni ludzie, ich dzieje, — wszystko to zepchnięte zostaje na plan dalszy.

* * *

Niewątpliwą wyższość nad dawnymi powieściopisarzami historycznymi mają dzisiejsi biografiści w zakresie odtwarzania prawdy historycznej. Gdy czytamy „la vie romancée“, — możemy się nie godzić z takiem czy innem pojmowaniem epoki i jej ludzi przez autora, ale nigdy nie wątpimy w to, że przedstawiony przezeń fakt istniał naprawdę. Ale czy ta niezachwiana wierność prawdzie historycznej jest wyłącznie zaletą? W monografji naukowej — tak, ale w dziele sztuki?...

Mimowoli nasuwa się przypuszczenie, że powieściopisarzom historycznym naszych dni braknie inwencji beletrystycznej, — brak im wyobraźni twórczej, której takie wspaniałe bogactwo uderza u autorów XIX stulecia i że nic innego, tylko niezdolność do tworzenia samodzielnych własnych obrazów i wątków, logicznie wiążących się z epoką, którą opisują, — każe im niewolniczo odtwarzać jedynie prawdę historyczną.

Ale i tu nieraz wyższość mają nad nimi Walter Scott, Dumas ojciec, Flaubert, Sienkiewicz, Lew Tołstoj. Cóż z tego, że nie istniał nigdy Templarjusz-Brian de Bois - Gilbert i nie poległ wcale w cudowny sposób w czasie swego zwycięstwa nad niehistorycznym przyjacielem Ryszarda Lwie Serce?... Cóż, że Karola Stuarta nigdy nie ratowali czterej muszkieterowie francuscy? Że nie istniał pan Zagłoba, i nie Andrzej Kmicic zadecydował o obronieniu się Częstochowy?...

Ale duch epoki, w której żyją, walczą i kochają ci nigdy nie istniejący ludzie, odtworzony jest przez ich twórców, zrozumiany i wyczuty znacznie prawdziwiej nieraz, niż przez dzisiejszych autorów żywotów romasowych, którzy — jak grzeczne dzieci — nigdy nie pozwolą sobie skłamać, nigdy — nie przedstawią obrazu czy człowieka, którego istnienia nie udokumentują źródłami historycznemi, — ale którzy często nie potrafią oddać prawdziwego ducha epoki!

Do najwybitniejszych i najgłośniejszych powieści biograficznych naszej epoki zaliczyć należy Andrzeja Maurois żywoty Shelley'a, d'Israelego - Beaconsfielda Edwarda VII; Emila Ludwiga „Napoleon“ i „Lincoln“, Wassermana biografję Kolumba („Don Kichot Oceanu“) i Stanley'a („Bula Matari“) i Tymianowa — dzieje znakomitego rosyjskiego komedjopisarza Gribojedowa („Śmierć Wazir - Muchtara“). Charakter biograficzny mają i „Historje Jakóbowe“ : „Dzieje Józefa i jego braci“ Tomasza Manna, a nawet i Krystyna, córka Lawransa“ Sygrydy Undset, — bo choć bohaterka cyklu „Wianek“, „Żona“ „Krzyż“ jest postacią zmyśloną — dzieje jej to nic innego, jak biografja bezimiennej, ale prawdziwej, typowej kobiety średniowiecza.

Natomiast — wbrew pozorom — nie jest żywotem romansowym „Piotr Pierwszy“ Aleksego Tołstoja, — przeciwnie, jest to zadziwiająca swym szerokim oddechem, monumentalna kompozycja epicka — powieść nie o jednym człowieku, epokę tworzącym, ale o epoce, przez człowieka tworzonej — a to nie jest to samo!

* * *

Najklasyczniejszym przykładem romansu biograficznego jest świeżo wydany po polsku (nakładem w—twa J. Przeworskiego, przekład Zofji Petersowej) „Juljusz Cezar“ Mirko Jellusicha. W żadnym innym utworze z dziedziny żywota romansowego nie występuje jego prawdziwy charakter w całej pełni tak, jak w opowieści o życiu twórcy imperjum rzymskiego na gruzach rozpadającej się, rozkładającej rzeczypospolitej.

W dziele Jellusicha imponuje nie tyle rozległa i głęboka wiedza o Cezarze (do tego jesteśmy już przyzwyczajeni u dzisiejszych biografów), ile dążność do stworzenia oryginalnej szaty artystycznej, któraby z romansu biograficznego uczyniła naprawdę dzieło sztuki, a nie zajmujące dziennikarskie sprawozdanie tylko (Wasserman), lub monografję historyczną, rozwodnioną pseudo - literackim, rzekomo poetyckim stylem (Ludwig, Zweig).

Z przekładu trudno osądzić, o ile „Juljusz Cezar“ jest dziełem sztuki. — niewątpliwie są momenty beletrystyczne i dramatyczne, świadczące o usiłowaniach autora stworzenia naprawdę powieści o wielkim dyktatorze Rzymu, a nie biografji pseudo - artystycznej. Zarówno koniec utworu, jak i niektóre epizody, nacechowane dynamizmem i umiejętnością porwania pointe'ą — świadczą na korzyść dzieła Jellusicha.

Juljusz Cezar jest postacią wymarzoną dla autora żywota romansowego: rzadko kiedy w dziejach indywidualność wielkiego człowieka tak naprawdę ułożyła swe piętno na epokę i przysłoniła sobą i całą epokę i innych już ludzi. A przecież jednak i Pompejusz, i Krassus, i Sulla, i Brutus żyli swem własnem życiem psychicznem i społecznem, i rasowy beletrystyk — epik potrafiłby więcej wydobyć z ich psychiki i dziejów dynamiki, niż to uczynił Jellusich.

Moment aktualizacji jest w treści książki Jellusicha niewątpliwie najważniejszy. Czemże jest jego dzieło? Namiętną apoteozą jedynowładztwa silnego człowieka, jedynie umiejącego wznieść się na szczyty służby i pracy dla dobra ogółu, które to dobro będzie umacniał siłą, choćby i wbrew woli tegoż ogółu. A zarazem jest to akt oskarżenia, wytoczony republikanizmowi, demokracji i oligarchji zarazem, przedewszystkiem zaś parlamentaryzmowi.

W świetle książki Jellusicha partja republikańska, jej filary — Cycero i Kato Młodszy, jej ideały i dążenia, — to jedno wielkie bagno demoralizacji, cynizmu, interesowności lub w najlepszym razie ograniczonej tępoty. Tej bandzie, nie chcącej dla własnego interesu wypuścić władzy z rąk, przeciwstawia autor silnego człowieka, znającego swą wartość — wartość dla dobra ogółu.

Historjozofja to typowa dla naszych czasów. W jej świetle nawet Katylina wyrasta ponad Cycerona. — Panta rei — cóżby powiedział hetman Zamoyski Andrzej Maksymiljan Fredro i cała zapatrzona w ideały republikańskiego Rzymu — szlachta staropolska, gdyby tak jej przedstawiono wówczas jej ulubieńców i mistrzów??!...

* * *

W aktualizacji przeszłości idzie Jellusich za daleko. Jego Cezar myśli zanadto po dzisiejszemu, chwilami aż do złudzenia przypominając dzisiejszych dyktatorów; jego senat zanadto przypomina współczesne parlamenty, by nie robić wrażenia anachronizmu i wypaczania prawdy dziejowej. Wrażenie to potęguje niesłychanie słownictwo: Jellusich nietylko sam w narracji używa wyrazów ze słownika pojęć i obyczajów społeczeństwa o 2.000 lat odległego od Cezara, ale w usta swych bohaterów wkłada słowa, które natychmiast rozwiewają złude że jesteśmy w r. 60 przed Chrystusem.

Bez oryginału trudno sprawdzić, czy nie zawiniła tu przesadna gorliwość tłumaczki, — w każdym jednak razie „pas“ i „piruety“ na zebraniu towarzyskiem u Krassusa, a ponadto: adjutant, zaaferowany, front, (w zdaniu „idę na front“), lewica, prawica (partje polityczne!) i wiele innych bardzo obniżają powagę dzieła o Juljuszu Cezarze, jako powieści historycznej, t. zn. jako powieści, mającej za zadanie słowami dzisiejszemi oddać prawdę tamtej epoki i jej ducha.

p. t.

# Źródło natchnienia patrjotycznego
## (Na marginesie kazań ks. Momidłowskiego)

Kazania ks. infułata Stefana Momidłowskiego, już na kilkanaście lat przed powstaniem Polski, wstrząsały sumieniami mieszkańców Przemyśla. Biła z nich taka moc ducha patrjotycznego, połączona z żarliwem ukochaniem Polski, że słuchający tych kazań wbrew rozsądkowi, nakazującemu się liczyć z niewolą, musieli wierzyć w niedaleki dzień zmartwychwstania.

Kazania ks. Momidłowskiego, stanowiły zawsze dla Przemyśla ważny dzień. Przepełniona katedra, w dostojnej ciszy, wchłaniała wspaniałe wiązania zdania, których treść szła w parze z nienagannym stylem, obramowanym złotem kwiecistej wymowy, dosięgającej każdego serca polskiego. Kazania patrjotyczne wielkiego kaznodzieji były źródłem miłości ku Polsce, która choć w latach przedwojennych tak daleka i zamglona, w kazaniach ks. Momidłowskiego przekształcała się w żywe, jasne kształty.

Dlatego dobrze się stało, że „ulegając namowom przyjaciół"[1]) zdecydował się ks. Momidłowski wydać te kazania. Dzielą się one na cztery części. Pierwsza poświęcona Królowej Korony Polskiej i Konstytucji 3-go Maja, druga „rocznicy wielkich w narodzie", a więc Kościuszce, Mickiewiczowi, Słowackiemu, Krasińskiemu, Sienkiewiczowi, Polowi i in., w części trzeciej mamy kazania na chwile dziejowe, a w czwartej na rocznice dziejowe.

Styl kazań odznacza się nieskazitelną polszczyzną. Jest on czysty i giętki, wspaniale dając sobie radę z zawiłemi problemami, które z niezwykłą plastyką, stoją obecnie przed czytelnikiem, jak przed laty, przed szczęśliwym słuchaczem. Oto nieduża próbka tego pięknego stylu:

**Pójdźmy w te lata nasze, lata kajdan, niewoli, brzemienne w rozpacz i niedolę, łez pełne i jęków, lata znaczone więzieniem, szubienicą, Sybirem — i znowu pytajmy, gdzie ci wygnańcy szukali, dla siebie nadziei źródła, skąd moc czerpali, by nie zginąć w czarnej rozpaczy? Odpowiedź da nam natchniony mistrz ołówka Grottger, gdy w ostatnim obrazie Lituanii, wygnańcę pozbawionej męża, dziecka, ojczyzny, Marji zjawienie stawia przed oczy". (strona 15)**

Dwa największe umiłowania, błyszczą przedziwną jasnością w tych pięknych kazaniach, kiedy o Najświętszej Pannie Marji, lub Polsce ks. Momidłowski ma mówić, dobiera perełek mowy naszej, aby hojnie je rozsiać u stóp swoich ideałów. Kazania stanowią wtedy najwyższy szczebel uniesienia religijnego, rozbrzmiewając najwyższemi akordami stylu i uczucia. Ot w jaki sposób wymienione są w jednem z kazań tytuły Królowej Korony Polskiej.

**„Ileż zatem tytułów posiada Marja, by królować nam i przewodzić! I woła każda pierś dziecięcia, poczęta na tej ziemi Królowo Korony Polskiej — módl się za nami! Woła cały zastęp królów i władców tych dzierżaw cudnych — Królowo Korony Polskiej módl się za nami! I rycerstwo woła: Bogu Rodzico Dziewico, Bogiem sławiona Marjo, Królowo Korony Polskiej — módl się za nami! I miasta i lud roboczy wołanie śle ku niebiosom — Królowo Korony Polskiej módl się za nami! I pośród łanów ziemi polskiej, z pól naszych, ze serc rolników na polskim zagonie pracujących nknie ku niebu odzew Królowo Korony Polskiej módl się za nami! Każda karta dziejów naszych, każdy wiek, uderzenie serc wszystkich na ziemi polskiej bijących, jednym hymnem wołają Królowo Korony Polskiej módl się za nami!" (str. 17).**

Przepiękna jest część kazań poświęcona „wielkim w narodzie". Bez względu na to o kogo tu będzie chodziło, zdo bywa się autor na własne niezwykle ucatne charakterystyki, przyczem zawsze potrafi udowodnić, że obok wielkich umysłów, posiadali zawsze wielcy Polacy serca przepełnione kultem religijnym. Nawet wówczas kiedy przychodzi kaznodziei mówić o herezjach religijnych niektórych z nich, stale obok nagany, znajdzie się słowo rozgrzeszenia, bo przecież błądzić ludzką jest rzeczą. To też Towiański nie wiele sromu rzucić zdołał w oczach ks. Momidłowskiego na wzniosłe postacie Mickiewicza i Słowackiego. Ten ostatni wraz z Sienkiewiczem pasowany jest w pierwszym rzędzie na herolda mowy polskiej.

**„Ta mowa Sienkiewicza — mówi autor — łkała serdecznem drganiem, gdy mówiła o bólach i cierpieniach czy narodu, czy serc poszczególnych, kiedy indziej, gdyby szeroka roztocz mórz niosła sercom ukojenie, to znowu dreszcze świętą budząc, do czynów nawoływała, do pracy",. (str. 79)**

O Słowackim czytamy, że był „wśród niewielu, którzy pióra swego nigdy nie skalali czemś niskiem, nikczemnem". W kazaniu na nabożeństwie żałobnem w 50-lecie zgonu Mickiewicza, mamy sylwetkę ducha wieszcza, który w chwili „kiedy dola z niedolą podawały sobie nad Polską ręce, dobijając się o panowanie nad nią", nie pozwalał narodowi gnuśnieć i zatracać polską duszę.

„Mickiewicz miał sam chwile zwątpienia, rozpaczy, ale też ocknąwszy się, umiał drugich dźwigać na duchu, podnosić, umacniać", (str. 51)

Ostatnia część kazań poświęcona jest chwilom dziejowym. Kiedy w lutym 1918 roku, cały polski Przemyśl protestował jak jeden mąż przeciw hańbie traktatu brzeskiego , to dwa najwspanialsze i najwyższym patrjotyzmem owiane przemówienia wygłosili dwaj kapłani. W sali „Sokoła" niezapomniany ks. biskup Pelczar i na rynku przemyskim właśnie ks. Momidłowski. Nie były to już słowa, ale gromy rzucane pod trony zaborców. W kazaniach przygodnych mamy ślady wszystkich większych zdarzeń na ziemiach polskich, w ostatnich trzydziestu latach. Znajdujemy tu równie bezkompromisowe potępienie socjalizmu, jak i żydostwa stanowiącego garb na ciele narodu. W roku 1907 wołał kaznodzieja:

„Szerokie masy ludu roboczego zapierają się nietylko Boga, ale i ojczyzny, chlubią się tem, **że zerwały z wiarą świętą katolicką i Polski się wyrzekły. Czy jednak wolno nam rozpaczać? Nie! Wołajmy sursum corda** — w górę serca! weźmy się z tem hasłem do pracy sumiennej, gorliwej". (str. 185)

W tem samem kazaniu, mamy trafny pogląd na działalność żydowską, uwidocznioną specjalnie w socjaliźmie:

„Lud nasz roboczy znalazł opiekunów, ale byli to prawie wszędzie ludzie obcy wiarą, krwią, pochodzeniem; ci odezwali się do jego nmiętności, porwali go w swoje szpony i używają mas jego szerokich, do osobistych swych celów. Żądni własnego wyniesienia, szukając własnych korzyści, porwali nasz lud roboczy, zdeprawowali, aby na barkach jego wznieść się ponad tłumy". (str 187)

Dużo uwagi poświęca zawsze ks. Momidłowski w swoich kazaniach inteligencji i młodzieży. Główną siłę narodu stanowi właśnie inteligencja. Nie wolno jej się jednak zasklepiać, jak to na każdym kroku widzimy, w ciasnem samolubstwie, ale rozszerzać w ofiarnej pracy na cały naród. Wiara, zgoda, miłość i odwaga stanowić powinny hasła polskiej inteligencji.

Przyszłość narodu — młodzież, zajmuje również w kazaniach dużo miejsca. Wspaniałe wyrazy znajduje autor, dla bohaterskich Orląt, poległych w obronie Przemyśla w roku 1918, a w kazaniu poświęconem w roku 1908 Polowi, tak się odzywa do młodzieży:

„Jeżeli komu potrzebna zachęta do wytrwania w wierze, to tobie młodzieży kochana, jeśli przykłady wielkich mężów z przeszłości dziejowej mogą do czyich serc przemówić, to do waszych przedewszystkiem. Korzystajcie z warunków w jakich postawiła was Boża Opatrzność, nie marnujcie talentów otrzymanych od Boga, pełną ręką czerpajcie ze skarbnicy nauki, byście należycie przysposobieni, mogąc kiedyś stanąć do pracy na ojczystym zagonie". (str. 95)

Źródłem patrjotycznego natchnienia nazwaliśmy prześliczne i budujące kazania ks. Momidłowskiego. Miano to zupełnie słusznie im się należy. Pełne miłości Boga i Ojczyzny, krzepiły nas w latach niewoli, nie pozwalając zamknąć się w skorupie egoizmu po odzyskaniu swobody. Nawoływały do czynu i wzywały brzydzić się grzechem. Zbliżały do Boga i łączyły z Polską. Kazały czuć i myśleć, wierzyć i działać.

Jesteśmy przekonani, że za tomem pierwszym pójdą następne, jak i w to wierzymy, że kazania obecnie wydane trafią nietylko do rąk każdego księdza, ale i świeckiego inteligenta. Mimo bowiem upływu lat, żywe są i drgają od nut zawsze aktualnych.

**Włodzimierz Bilan**

*) Ks. Stefan Momidłowski: „Kazania Przygodne". Miejsce Piastowe 1934. Nakładem Twa Św. Michała Arch. Stron 280.

# Kararyjskie marmury

Kiedy jadąc pociągiem z Genui do Rzymu, w okolicy Sarzana wychylimy się z okna wagonu, — ujrzymy po lewej stronie od toru kolejowego majaczące w oddali wyniosłe szczyty górskie.

Niezwykłe to góry: w upalne miesiące letnie lśnią z daleka białym płaszczem śniegu. — a co dziwniejsza, śnieg ten nie leży na szczytach, jakby to się wydawało logicznem, lecz mniej więcej w połowie wysokości, na zboczach długiego łańcucha górskiego.

Nie śnieg to jednak — lecz marmur. Najpiękniejszy, najczystszy marmur, słynny na całym świecie, — marmur kararyjski. Niewyczerpane pokłady tego marmuru ciągną się niemal przez całą długość Alp apuańskich aż do Pietrasanta.

Częściowo eksploatowali ten marmur już Rzymianie, — z chwilą jednak upadku imperjum rzymskiego, słynny już wówczas „marmor Lunense" (nazwany tak od portu Luna, dzisiejsze „Luni") poszedł zupełnie w zapomnienie.

Dopiero przy budowie katedry w Pizie oraz świątyń w okolicznych miastach wrócono do marmuru kararyjskiego. Zapotrzebowanie tegoż wzrosło ogromnie w wieku XV i XVI, równolegle z rozkwitem włoskiej sztuki rzeźbiarskiej i architektonicznej.

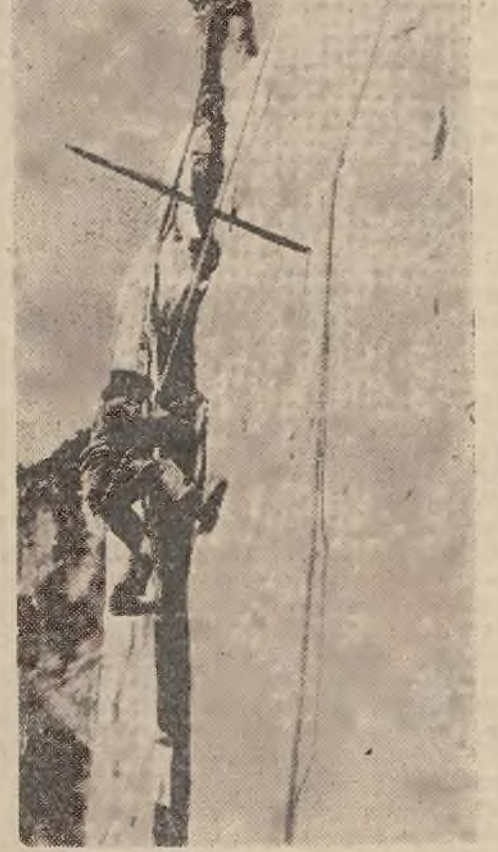
* * *

W ostatnich dziesiątkach lat przemysł kamieniarski doszedł do wielkiego rozwoju. Już przed wojną wywożono z samej Carrary ponad 200 tys ęcy ton bloków marmuru rocznie.

Największe i najlepsze kamieniołomy znajdują się w Carrarze, — obok tego wydobywa się marmur w kilku sąsiednich miejscowościach.

Praca w kamieniołomach jest nad wyraz ciężka i niebezpieczna. Żar słońca, brak wody, ostry pył, wciskający się w oczy i w usta, — wszystko to daje się dotkliwie we znaki.

Mimo zastosowania wszystkich nowoczesnych urządzeń technicznych, elektrycznych wiertarek i pił, — znaczną i to najcięższą część pracy wykonują jednak i nadal ręce ludzkie. Praca ta podzielona jest na kilka etapów. Po wywierceniu otworu w twardej skale i założeniu naboju dynamitowego, — ro-



Karkołomna „Wspinaczka"

botnik przystępuje do obróbki oderwanych potężnych bloków by nadać im formę symetrycznych kostek. Są to tzw. „pizzicatori" i „riquadratori", pracujący całym wysiłkiem mięśni wśród białego pyłu unoszącego się dokoła.

Inną, niezwykłą, a niebezpieczną funkcję spełniają tzw. „lizzatori". Zadaniem ich jest załadować ogromne, obrobione już bloki na prymitywne drewniane saneczki, któremi przewoża je następnie, — na drewnianych również podkładach — do najbliższej linji specjalnej kolejki. Kolejka ta, zwana „Ferrovia Marmifera", przedsiębiorstwo prywatne, — przypomina nasze kolejki górskie i służy do przewozu obrobionych bloków do najbliższego portu, skąd następnie płyną one na wszystkie strony świata.

Podobnie też, jak przy naszych górskich kolejkach, można za specjalnem zezwoleniem — i na własne ryzyko — odbyć tą kolejką podróż, niesłychanie emocjonującą, a ciekawą. Mały pociąg wpada co kilka minut z hukiem w ciemne i chłodne tunele, by za chwilę wynurzyć się znów wyżej, wśród oślepiającej bieli marmurów lśniących w gorących promieniach południowego słońca.

* * *

Praca w kamieniołomach Carrary jest prawie dziedziczna: przechodzi z ojca na syna, a każda rodzina ma poniekąd swoją „specjalność". Jak zaznaczyliśmy, praca to ciężka i wyczerpująca, połączona z licznemi niebezpieczeństwami. Daje ona jednak stały zarobek kilku tysiącom ludzi, stanowiących niejako osobny klan, uważających się za coś nieskończenie wyższego od zwyczajnych „kamieniarzy".

I nic dziwnego: oni to przecież wydobywają ciężkim trudem i wysiłkiem z łona gór bloki tego przeczystego marmuru, z którego kiedyś powstaną, pod dłutem genjalnego rzeźbiarza, wspaniałe dzieła sztuki... **(R.)**

# Z nowszych zdobyczy o hormonach

## (Hormony a witaminy)

Wspaniały rozwój nauki o hormonach jest zdbyczą czasów nowszych; mianowicie w r. 1889 Brown - Sequard, ogłosiwszy wyniki swoich badań nad wyciągami z jąder byka, zapoczątkował erę ścisłych eksperymentalnych badań naukowych w tej dziedzinie. Odtąd szereg badaczy sumienną i ścisłą pracą toruje drogę coraz to nowszym odkryciom o bardzo doniosłem znaczeniu naukowem i praktycznem: wyjaśnienie przyczyn wielu chorób i zastosowanie tych odkryć w lecznictwie; dla przykładu wspomnę że odkrycie insuliny w r. 1922 przyczyniło się do wyjaśnienia przyczyny cukrzycy i jej nowoczesnego leczenia.

Rozwój tej nauki nie jest jednak jedynie zasługą genjalnego fizjologa Brown - Sequarda, lecz jest też owocem pracy wielu jego poprzedników. Już pod koniec wieku XVIII odzywały się głosy, zwiastujące rozwój nowych pojęć — możliwości odziaływania na siebie narządów na drodze chemicznej, który to pogląd stanowczo przeciwstawiał się panującym wtedy pojęciom o korelacji nerwowej spraw ustrojowych t. j. poglądowi, że narządy oddziaływują na siebie tylko drogą odruchu nerwowego. Wśród tych śmiałych i zasłużonych poprzedników Brown - Sequarda należy wymienić Berdholda, następnie Cl. Bernarda — odkrywcę glikogenu, który swemi badaniami (1853 — 1860) ustala ścisłą definicję wewnętrznego wydzielania.

Aby należycie zrozumieć, jak wielkie możliwości praktycznego zastosowania kryją w sobie zdobycze nauki o hormonach, — trzeba zapoznać się z istotą hormonów, podłożem ich działania i ich rolą w życiu ustroju.

Hormony są to ciała chemiczne, wydzielane przez pewne gruczoły, t. zw. gruczoły o wewnętrznem wydzielaniu. Są to zwykłe gruczoły z pewną jednak cechą wyróżniającą. Gruczoły są to narządy bogate w komórki wytwarzające pewne wydzieliny; wydzieliny te powstają na skutek przeróbki przez te komórki materjału odżywczego dostarczanego im drogą krwi tętniczej; są one przeznaczone dla potrzeb ustroju i zostają odprowadzone z gruczołu przez specjalne przewody odprowadzające do jam ciała lub na powierzchnię skóry np. gruczoły żołądka, gruczoły łojowe skóry..

Cechą wyróżniającą gruczoły o wewnętrznem wydzielaniu jest sposób zużytkowania i przeznaczenia wydzielin tych gruczołów w ustroju. Mianowicie wydzieliny te dostają się drogą bezpośrednią, t.j. bez specjalnych przewodów, nie do jam ciała, lecz wprost do krwi, — do naczyń włosowatych oplatających gęstą siecią komórki gruczołowe, stąd druga inna nazwa tych gruczołów — gruczoły dokrewne. Z krwią opływają one cały ustrój, a stykając się z jego tkankami wywierają specyficzny wpływ na pewne narządy i sprawy a pośrednio i na całokształt spraw ustrojowych.

Znaczenie hormonów dla ustroju jest ogromne, gdyż cały szereg podstawowych spraw ustrojowych zależy od ich działania. Możnaby powiedzieć, że dany organizm zwierzęcy lub ludzki z jego budową, właściwościami jego procesów ustrojowych jak przemianą materji, zdolności rozrodcze, nawet usposobienie, wogóle to co wyróżnia go od innych mu podobnych, — jest obok i swych czynników w znacznej mierze wypadkową działania różnych hormonów.

Te różnorodne działania hormonów możnaby podzielić na dwie grupy: na ich działanie ogólne na cały ustrój, — i działanie bardziej wybiorcze, na pewne tylko układy, narządy lub sprawy. Podział ten nie byłby jednak dość ścisły, gdyż właściwie działanie ogólne jest wynikiem działań wybiorczych — wzajemnego ustosunkowania się wpływów bezpośrednich i pośrednich poszczególnych hormonów. Podział taki jest jednak użyteczny dla należytego uporządkowania wiadomości, zdobytych doświadczalnie lub drogą spostrzeżeń chemicznych.

Działanie hormonów ogólne ujawnia się jako sprawy rozwojowe młodego ustroju, a więc: budowa kośćca, rozwój tkanki podskórnej, rozwój narządów płciowych, jako stopień nasilenia właściwości przemiany materji, a nawet rozwój zdolności psychicznych..

Ważne sprawy ustrojowe, — czynność narządów wewnętrznych (o umięśnieniu gładkiem) jak serce, oskrzela, żołądek, jelita, pęcherz moczowy, — stanowiące o wegetacji i życiu danego ustroju — jest regulowana przez hormony za pośrednictwem układu nerwowego wegetacyjnego. Układ ten inaczej nazywa się układem nerwowym autonomicznym, gdyż funkcjonowanie jego — kierowanie czynnościami wymienionych ważnych narządów — odbywa się bez udziału naszej świadomości, nie podlega naszej woli. Jedynie w sprawach chorobowych nienormalne funkcje któregoś z tych narządów dochodzą do naszej świadomości.

Centra kierownicze tego układu znajdują się w mózgu i rdzeniu pacierzowym. Stąd za pośrednictwem dwu symetrycznych zwojów położonych wzdłuż kręgosłupa, zwojów dalszych obwodowych, łączących te zwoje nerwów i zakończeń nerwowych w narządach — idą odpowiednie podniety, do poszczególnych narządów. To kierowanie czynnością narządów odbywa się w ten sposób, że każdy narząd ma podwójne, antagonistyczne unerwienie. Przez jedne nerwy idą podniety z ośrodków kierowniczych pobudzające dany narząd do właściwej mu czynności, przez drugie — podniety hamujące.

Hormony opływając z krwią wszystkie zakątki ciała stykają się w poszczególnych narządach z zakończeniami tych dwu grup nerwów i pobudzają je do wywierania na te narządy właściwych im podniet. Stąd też i nazwa: hormon, oznacza z greckiego wyrazu — pobudzacz. Wten sposób hormony zależnie od potrzeb organizmu mogą wpływać na nasilenie procesów zachodzących w danych narządach, hamując lub pobudzając czynność każdego z nich; utrzymują one procesy życiowe na pewnym normalnym poziomie; umożliwiając organizmowi przystosowanie się do danych warunków, uniezależniają niejako harmonję i ład wewnętrzny od czynników zewnętrznych.

Funkcje życiowe narządów można zmieniać, a więc pobudzać lub hamować ich czynności, w sposób sztuczny t. j. za pośrednictwem pewnych ciał chemicznych wprowadzonych do organizmu od zewnątrz.

Nagły lub stopniowy brak któregokolwiek z hormonów lub niedostateczna produkcja czy też nadmiar w produkcji — wywołane przez pewne zmiany chorobowe w gruczole produkującym dany hormon — wywołują zakłócenia równowagi procesów ustrojowych kierowanych przez układ autonomiczny, co w połączeniu z innemi objawami natury bardziej ogólnej objawia się jako pewna choroba o pewnych charakterystycznych objawach klinicznych.

Badania nad hormonami wyjaśniły etjologię wielu spraw chorobowych przedtem niejasnych, obecnie zaliczanych do schorzeń na tle zaburzeń w wydzielaniu hormonów. Znając przyczyny tych chorób można też myśleć o skutecznem ich leczeniu. Podaje się dane hormony w razie ich braku jako przyczyny choroby; usuwa się część danego gruczołu, lub podaje się ciało o działaniu antagonistycznem do działania wydzieliny tego gruczołu — w razie nadmiernej produkcji danego hormonu przez ten gruczoł.

Badania więc czysto naukowe dążące do poznania istoty wydzielin gruczołów o wewnętrznem wydzielaniu, ich znaczenia i wzajemnego ustosunkowania się, — daje szerokie możliwości zastosowań praktycznych tych wiadomości w lecznictwie.

Takie właśnie praktyczne zastosowanie może znaleźć nowsze odkrycie z dziedziny hormonów dokonane w Instytucie Biochemicznym w Sztokholmie przez prof. dr. Eulera i dr. Klussmana. Jest to wykrycie antagonizmu, ale nie między dwoma hormonami, — lecz między hormonami a witaminą! Wymienieni badacze w doświadczeniach na zwierzętach wykazali antagonizm między tyroksyną — hormonem tarczycy a karotyną wzgl. witaminą A.

Tyroksyna, — hormon tarczycy o znanej budowie chemicznej (zawiera 65 proc. jodu), którą obecnie otrzymuje się też syntetycznie, — między innemi zwiększa u człowieka podstawową przemianę materji, podnosząc ilość zużytego tlenu, wydalonego $CO_2$. Na tej zasadzie używa się jej czasem do leczenia nadmiernej otyłości.

Wymienieni badacze wykazali, że karotyna wyrównywała utratę wagi zwierząt doświadczalnych wywołaną u nich przez podawanie tyroksyny. Mianowicie u 13 zwierząt stwierdzono po podawaniu tyroksyny spadek wagi mniej więcej 9 g. na tydzień, — gdy zaś podawano tyroksynę i karotynę jednocześnie, stwierdzono zwiększenie się wagi o 1 gr., zaś po podaniu tylko karotyny zwiększenie wagi o 11 gr. na tydzień.

Jaki jest mechanizm tego antagonizmu, — nie wiadomo. To że podawanie tyroksyny i karotyny jednocześnie podnosi wagę, o 1 gr., zaś podawanie tylko karotyny o 11 gr., podawanie zaś samej tyroksyny spadek wagi o 9 gr., — świadczyłoby, że prawdopodobnie, karotyna niweczy działanie tyroksyny, wiążąc ją w jakiś sposób i unieszkodliwiając. Przy wyłacznem więc podawaniu tylko tyroksyny zapas karotyny w organizmie maleje wskutek zwiększonego jej zużycia dla „neutralizacji" tyroksyny.

Jakie zastosowanie w lecznictwie znalazłoby to odkrycie? wiadomo, że choroba Basedowa jest następstwem hiperfunkcji tarczycy t. j. nadmiernego wydzielania tyroksyny przez ten gruczoł. Otóż zdolność karotyny jakby „neutralizowania", niweczenia działania tyroksyny — mogłaby być zużytkowana w leczeniu tej choroby. **N. O.**

# Muzyka narodów w radjo

Cykl audycyj muzycznych, nadawanych obecnie przez Polskie Radjo a poświęconych muzyce poszczególnych narodów europejskich i to przeważnie nowoczesnej, obdarzył nas w ubiegłym tygodniu szeregiem produkcyj na należytym poziomie artystycznym, nasuwających równocześnie pewne refleksje o charakterze nie wyłącznie muzycznym. Usłyszeliśmy więc transmitowaną na wszystkie stacje polskie muzykę węgierską i to orkiestralną, następnie koncert z utworami Webera, Wagnera i Schillinga z udziałem niemieckiej śpiewaczki, a więc niejako reprezentatywny dla Niemiec współczesnych, oraz w zasięgu lwowskim wieczór kompozytorski Ant. Rudnickiego.

Przekrój dorobku muzycznego na Węgrzech ukazany nam w szeregu utworów orkiestralnych W. Vaszy'ego, Z. Kodály'ego, L. Weinera i E. Dohnányi'ego, o bardzo nierównej zresztą wartości, nie mógł dać niestety właściwego pojęcia o prądach nurtujących współczesną muzykę węgierską, choćby z powodu ominięcia B. Bartoka, głównego jej reprezentanta. Na program tego koncertu złożyły się: Uwertura komedjowa W. Vaszy'ego, dyrygenta tego wieczoru, dziełko nic nie mówiące, a zalecające się chyba jedynie niewielkiemi rozmiarami. Intermezzo z opery: „Hary Janos" Z. Kodály'ego, blade w całości i niezdolne zobrazować twórczości tego wybitnego zresztą kompozytora. Humoreska karnawałowa L. Weinera, zgrabna i doskonale zinstrumentowna, oraz czteroczęściowa Suita E. Dohnányi'ego, dzieło wielkiego bezwątpienia talentu, smaku artystycznego i wiedzy kompozytorskiej, ale również mało charakterystyczne.

W całości program nie zawierał utworu, w któryrnby się zaznaczył dobitnie choćby folklor muzyczny narodu węgierskiego, lub wystąpiły w jaśniejszem świetle zdobycze nowszej techniki kompozytorskiej.

Koncert muzyki niemieckiej, zapowiedziany aż w 3 językach, zapoznał radjosłuchaczy polskich z śpiewaczką opery berlińskiej, p. Rozalindą von Schirach, przed nastaniem nowego regime'u mało w Niemczech znaną. Głos niewątpliwie piękny, choć w górze zwłaszcza niezrównany i łatwo się usuwający, wzorowa dykcja, interpretacja w wyjątkach operowych (Wolny Strzelec, Trystan i Izolda) wprawdzie stylowa, ale blada w wyrazie, nieprzekonywująca i w obranych tempach nieco rozwlekła, — oto pierwsze wrażenie, które umocniło jeszcze wykonanie czterech pieśni Schillingsa. Poza wspomnianemi już wyjątkami z „Tristana" i „Wolnego Strzelca" oraz mało zajmującemi pieśniami Schillingsa, zmarłego niedawno kompozytora kierunku powagnerowskiego — obejmował program tego koncertu jeszcze uwerturę do „Oberona" i wstęp do „Śpiewaków norymberskich", wykonane przez orkiestrę P. R. pod dyr. T. Mazurkiewicza z należytem uplastycznieniem szczegółów i dobrą architektoniką całości.

Wieczór kompozytorski Ant. Rudnickiego z udziałem sopranistki p. Sokół-Rudnickiej, sprofilował przedewszystkiem pieśniarską stronę tego nieprzeciętnego talentu, gdyż umieszczony w programie jeden utwór fortepjanowy (temat z warjacjami z sonaty op. 10), niezbyt jasny i wyrazisty w swej budowie warjacyjnej, nie mógł zająć silniej słuchaczy twórczością fortepianową młodego lwowskiego kompozytora. Natomiast 3 cykle pieśni: Pieśni spkojne, op. 2, Pieśni miłosne, op. 3, oraz cztery pieśni do tekstów chińskich liryków, op. 6, zdołały zainteresować w znacznym stopniu zarówno piękną linją melodyjną, ciekawą harmonizacją i barwną ilustracją fortepianową, jak i szczerością inwencji.

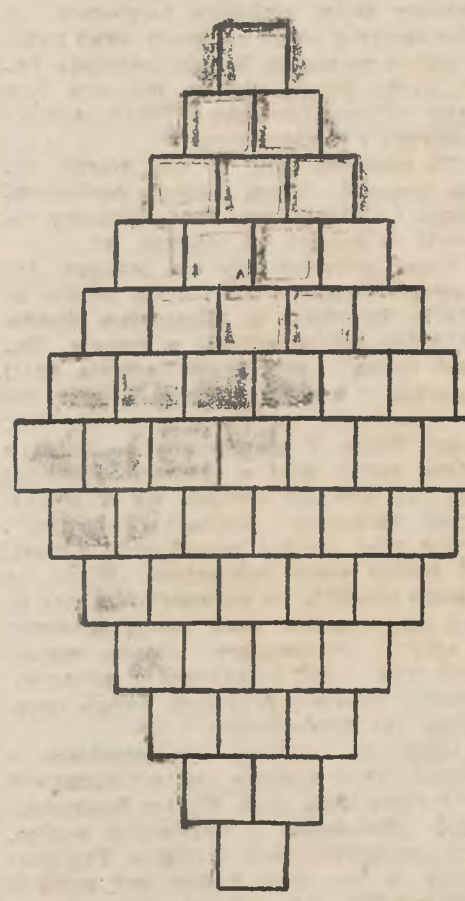
O jakiejś skrajnej „lewicy" muzycznej niema tu mowy trudno też doszukać się wyraźnych cech narodowych w tej muzyce, raczej tendencje umiarkowane wzbogacone zdobyczami techniki Zachodu znamionują tę twórczość artystyczną.

Sopran liryczny p. Sokół-Rudnickiej o bardzo pięknem brzmieniu uwypuklił wspomniane walory muzyczne i dał całość szczerze odczutą, szkoda jedynie, iż niewyraźna dykcja nie pozwoliła zaznajomić się dokładniej z tekstem wykonanych pieśni.

# DZIAŁ ROZRYWKOWY

## Podwójna lawinówka

(ułożyła Stan. Krzy-cka)



Zaczynając od jednej litery, dodawać kolejno po jednej głosce, a następnie (od połowy rysunku) odejmować znów po jednej głosce, tak by przy odpowiedniem każdorazowem ustawieniu liter powstawały kolejno wyrazy o następujących znaczeniach:

1) samogłoska, 2) nuta, 3) utwór poetycki, 4) miejscowość klimatyczna w Młp. wsch., 5) ziomek, 6) imię męskie, 7) utwór Słowackiego 8) rzeka w Palestynie, 9) rzeka we Francji 10) pora dnia, 11) zaimek, 12) przyimek, 13) samogłoska.

* * *

## Szarada bardzo na czasie

(Ułożył „John Ly“)

Od **Raz.drugich** aż po Madryt,
od Uralu po Gibraltar —
wszędzie wrzenia, żarcia, hadry,
polityczne różne salta..
Coś się złego w świecie kroi,
Knują coś „politykiery“...
Świat nie **trzy-pięć** obow swoich,
Krzyczą: „Gwałtu! **Sześć i cztery!**“
**Całe** mnożą się, jak grzyby.
„Liga“ po swojemu gada,
A tu giną „grube ryby“
i świat chwieje się w posadach.
Ludów **siódma-pierwsza** pragnie
pokój mieć nie od parady!
Lecz z maluczkich któż odgadnie,
co obmyślą „Wielkie Rady?“
Ludów **siódmej-piątej** stają
w poprzek zaskoczenia różne,
Jedni drugich nabierają,
robiąc sprytne **siódme-ósme**.
**Całe** mnożą się i szerzą.
**Drugi** fakt niedobrze wróży
licznym paktom i przymierzom,
Snać się światu pokój dłuży..

* * *

## Szarada

(ułożyła „Junona“ Warszawa).

Jesienny, zimny wiatr zmiótł zwiędłe liście z ulic,
czwór serca, które śni, tęsknota pełznie skryta;
do wystawowych szyb szron zimny biel swą tuli,
samotny, obcy pan w kawiarni „Kurjer“ czyta
W Kurjerze wieści dwa lecz każda **siódma-szósta**.
pomnaża myśli złe, **trzy-jeden** w głębi łona!
Aż wreszcie jedno „coś“ przywiało śmiech na usta:
„To imię? Skąd je znam? Aha! Już wiem! To „ona“!
Jesienny, zimny wiatr drzew **siódmo-ósma** złote
swem silnem tchnieniem zwiał i śmieje się szyderca,
że wśród bezsilnych brzóz rozpętał wkrąg tęsknotę
że stłumił ludzki śmiech i smutek wlał do serca.
Jesienny, zimny wiatr rozkłębił kurz na śmieciach,
**pięć-szósta** twórczych snów w bezkresną dal ulata,
a ręce związał Los! Brutalna **druga-trzecia**
przytłacza każdą chęć i każdą myśl przygniata
Jesienny, zimny wiatr o złej **czwór-pierwszej** śpiewa
żałosną jakąś pieśń przesmutną i jękliwą,
na oknach świeci szron drżą z chłodu nagie drzewa.
**pięć** wspomnień fali „ktoś“ pojawił się tak żywo..
Samotny, obcy pan w przeszłości myślą tonie:
jej zmienna twarz... jej śmiech... jej miękkich włosów dotyk..
przez chwilę serce drży, przez chwilkę myśli o niej —
— i znów jesienny wiatr rozwiewa wspomnień sploty!

* * *

## Rebus na czasie

(ułożył „John Ly“)




Rebusik składa się z trzech wyrazów.

* * *

## Łamigłówka

(ułożyła Fr. Goldowa, Lwów)

—dli—, —chów—ka, — ła—, —pli—
—zio—, —wo—, —rze—, —ni—, —no—,
—dy—, —li—.

W miejsce kresek należy wstawić po jednej z niżej wyliczonych zgłosek, tak by powstało jedenaście wyrazów trzyzgłoskowych.

Pierwsze zgłoski tych wyrazów czytane kolejno dadzą rozwiązanie.

Zgłoski do wstawienia: Bu, da da, du, je, je, ka, kat, la le; na; nie; nu; ro ruj; sta; ta, wa, wać wy, zgo, zgo.

* * *

## Rozrywki dla młodzieży

### Metamorfoza

(ułożył „Eugene“)



Zmieniając kolejno po jednej literze proszę przejść od wyrazu pierwszego oznaczającego wstrzymanie się od pokarmów mięsnych — do ostatniego, oznaczającego wymiar sprawiedliwości.

* * *

### Rozsypanka

(ułożył Z. Lachowicz)

A, chi, ce, do dyk, in, in; ja; ja; jo; kor, kra, lew nak, nu, ny, rab; rad; rek; słoń, syr, wiec; za; ża.

Z powyższych sylab utworzyć wyrazy o następ. znaczeniu: 1) część morza odcięta mierzeją, 2) przewodnik słonia, 3) tytuł władcy indyjskiego, 4) państwo w Azji 5) planeta, 6) ptak domowy, 7) łowi perły, 8) państwo w Azji, 9) tubylec, 10) państwo w Azji.

Początkowe litery tych wyrazów czytane kolejno dadzą rozwiązanie.

* * *

### Łamigłowka

(uł. Tad. Dworski)

Z nazw miejscowości niżej podanych, — proszę wybrać po trzy obok siebie stojące litery tak, by złączone i czytane kolejno dały polskie przysłowie:

„Kościelec“ — „Sierp“ — „Białystok“ — „Głębokie“ — „Medyka“ — „Cisna“ — „Cięcina“ — „Piechcin“ — „Białowieża“.

* * *

Rozwiązania prosimy nadsyłać **do środy dnia 7 listopada br.**

Za trafne rozwiązanie wszystkich zadań przeznaczamy do rozlosowania interesującą powieść z ostatnich nowości beletrystycznych.

* * *

**Rozwiązanie zadań z nr. 283.**

**Szarada z rebusami:** Kamaryla lub inaczej klika ma na oku interesy własne.

**Zagadka lawinowa:** A, as osa, osad, stado. Radost. Stradom.

**Łamigłówka:** Kto wiary nie daje ten wiary nie ma.

**Szaradka:** Szałaputa.

**Szarada na czasie:** Wyczyn lotniczy polski.

**Kółeczka:** Bombaj, Arabja Ararat; Parana.

**Kwadrat magiczny:** Kato, Adam, tara, Amor.

**Skarbonka:** 10 sztuk po 5 zł., 40 po 1 zł., 50 po 20 gr. Obok tego może być jeszcze kilkanaście innych, równie trafnych rozwiązań, jak np. 1 po 5 zł., 94 po 1 zł., 5 po 20 gr., itp.

* * *

**ROZWIĄZANIE NADESŁALI**

**ze Lwowa** pp. Hel. Kowalska, Eug. Dworski, „Arja“, Ir-ka; Stan. Krzywobłocka, Adela Rogozińska, M. Zygmuntowicz M. Angielczykowska, Wład. G., inż. J. Bukacki, R. N.; Józef Koberwein, R. Wit., Stan. S., inż. J. W. M. Haichowa, Zetel, Roman H. Z. Lachowicz, N. Kwiczołłówna Kazik ze Zboisk, Irenka M-a, „Zbyszek Czarny“, Januszek L.

Fr. Goldowa, Br. Ostrowski, N. Smolicka E. Boczarska, Sigma, M. Łesiuk, Marjusz, Marja Dworska Anna Woroniecka.

**z poza Lwowa** pp. Kazim. Jurkiewicz (Śniatyn) Cz. Murczyński (Kraków), M. Kański (Kraków), Marja Potocka (Sanoczek), Zdziś Beksiński (Sanok) I. Wilkowa (Rzeszów.) „Olga“ (Jarosław), „Tom“ (Rzeszów), Tad. Dworski (Sanok) M. Lityńska (Przemyśl), Em-zet (Przemyśl), Leszek Raczkowski (Niżankowice), M. Alexandrowicz (Delatyn).

Nagrodę uzyskała **p. R. Wit we Lwowie.**

Nagrodę dla młodzieży przyznajemy **p. W. Kwiczołłównie we Lwowie.**

Książki są do podjęcia w naszym Kantorze.

* * *

**ODPOWIEDZI REDAKCJI**

**Inż. J. B. Lwów.** Zupełnie słusznie — i każde z 16 rozwiązań jest jednakowo dobre. Jest to pewnego rodzaju gimnastyka umysłowa.

**Junona.** Pięknie dziękujemy. Już dzisiaj idzie. Liczymy na dalszą cenną współpracę.!

**Zdziś B.** Brawo! Cieszą nas słowa uznania. Radzimy dalej pilnie rozwiązywać a nagroda pewna.!



# Ze świata książki

**R. MADER. CHRYSTUS WIELKI MONARCHA** nakł. Naczelnego Instytutu Akcji Katolickiej Poznań, 1934, str. 56. cena 1 zł. Nowa praca, znanego w literaturze religijnej katolickiego publicysty szwajcarskiego, ukazała się w oryginale zaledwie w ubiegłym miesiącu i dobrze się stało, że jeszcze na samą uroczystość Chrystusa-Króla wydano ją w polskim przekładzie. Książka Mädera uzasadnia ideę Święta Chrystusa - Króla, znaczenie tego Święta w czasach obecnych wskazuje i zwalcza prądy przeciwne społecznemu panowaniu Chrystusa - Króla nad światem i wskazuje drogi, jakiemi dążyć należy, aby przybliżyć Królestwo Chrystusowe! Chrystusa - Króla przemilcza się przez tchórzostwo, przez brak odwagi cywilnej. „Choroby leczyć trzeba ich przeciwieństwem. Aby przemóc epidemiczne przemilczanie Królestwa Chrystusowego musimy stać się wszędzie głośnymi Jego wyznawcami, heroldami Wielkiego Króla i Monarchy“ Wychodząc z takich rozważań przedstawia następnie autor, jak mają wyglądać rządy i władztwo Chrystusa w państwie ducha i w końcu nawołuje do jedności pod Jego sztandarem w Kościele katolickim.

**Pearl S. Buck: „Synowie“.** (Wydaw. „Rój“. Warszawa cena 3 zł.). — Omawialiśmy w swoim czasie obszerniej tejże autorki „Błogosławioną Ziemię“, podnosząc duże i istotne zalety tej powieści, zakrojonej na miarę epopei z życia wieśniaków chińskich. Wydana świeżo druga część „Synowie“ wykazuje już pewne obniżenie ogólnego poziomu. Autorka kreśli tu koleje życia trzech synów wieśniaka Wang-Lunga, poświęcając najwięcej miejsca najmłodszemu z nich, który obrał karjerę wojskową.

Skutkiem tego zaniedbaną została strona folklorystyczna, sanowiąca największą wartość i zaletę poprzedniej powieści.

**Val Giełgud: „Stara szabla“,** powieść (Wyd. „Rój“, Warszawa). „Znanym i niezmiernie poczytnym powieściopisarzem angielskim“ nazywa autora prospekt wydawnictwa, dodając, iż jest on Polakiem z pochodzenia i nazwiska. — Chcemy wierzyć temu wszystkiemu na słowo. Ale Val Giełgud nie zna Polski i nie zna polskiej psychiki. Powieść jego, w miarę zajmująca, może i miała powodzenie w Anglji, nie może jednak liczyć na nie w Polsce. Giełgud próbuje dać pewnego rodzaju „Sagę rodziny Dolskich“ od roku 1863 do czasów Wielkiej Wojny. Robi to jednak nieudolnie, a w drugiej części powieści wręcz naiwnie. W rezultacie wyszedł z tego jakiś romans kryminalny, możliwy do strawienia chyba dla bardzo bezkrytycznej publiczności angielskiej, nie znającej zupełnie ludzi i terenu, na którym akcja się rozgrywa.

O osobistem nastawieniu psychicznem autora świadczy wymownie fakt, że wśród postaci jego powieści spotykamy szlachcica polskiego, Józefa Skulskiego, który „po matce swej, Żydówce (!) odziedziczył rasowy, materjalistyczny pogląd na życie wybranego narodu“, — spotykamy renegatów-Polaków, sadystów i zdrajców.,

Książka to niepotrzebna dla nas, w kraju, a szkodliwa dla naszej propagandy zagranicą.

**Wacław Sieroszewski: „Dary wiatru północnego“** (wyd. „Rój“ Warszawa). — Fantastyczna bajka, przy zręcznem wyzyskaniu znanych oddawna naszej młodzieży tematów. Młodociani czytelnicy z zainteresowaniem śledzić będą niesamowite przygody odważnego małego Tomka, co wybrał się w gościnę do wiatru północnego. Nowe wydanie tej, oddawna już wyczerpanej, opowieści, może liczyć na powodzenie.

**SŁOWNIK FRANCUSKO - POLSKI PROF. HAMELA.** Wyszedł z druku nakładem Spółki Wydawniczej Trzaska, Evert, Michalski słownik francusko-polski prof. Bernarda Hamela, b. lektora języka francuskiego na Uniw. Jag., dyrektora Alliance Francaise w Krakowie. Praca Prof. Hamela jest wyczerpującem studjum naukowem, wypełniającem w znakomitej mierze dużą lukę jaka istniała w naszem słownictwie francusko - polskiem. Autor świetny znawca języka francuskiego objął swem dziełem niemal całe słownictwo francuskie w jego najbardziej typowych znaczeniach i zwrotach; najcenniejszą inowacją Słownika Hamela jest nadanie każdemu słowu żywego znaczenia przez ujęcie go w zdaniach wyrażających wszelkie możliwe przypadki językowe, czem niestety nie mogą się pochwalić wszystkie dotychczasowe słowniki. Prof. Hamel uwzględnił na wstępie swej pracy fonetykę i gramatyczną stronę języka francuskiego. Oparł je na najwybitniejszych dziełach francuskich uczonych, dzięki czemu nadał swemu Słownikowi charakter nie tylko czysto użytkowy ale także naukowy, najbardziej autorytatywny. Z tych też względów Słownik Prof. Hamela winien się znaleźć w rękach najszerszych sfer społeczeństwa polskiego. Jest to pierwsza część wydawnictwa, gdyż w przyszłym roku ukaże się również w opracowaniu Prof. Hamela część polsko - francuska. (wz.)

**KURJER RADJOWY**

# „Krystalizacja słuchowisk"

W paru ostatnich tygodniach zaznaczyła się w radjowym **„Teatrze Wyobraźni"** ciekawa pod pewnym względem tendencja do (że tak określę) krystalizacji słuchiwsk. Polega ona na nadawanu w przeciagu około jednej godziny dwóch krótszych słuchowisk. Właściwie wcześnie — bo jeszcze w lipcu b. r. — obserwowaliśmy pierwsze — zresztą nieświetne — próby w tym kierunku. Teraz więc tylko wskrzeszono dawniejszą koncesję, z którą można się zgadząć lub nie; omówienie jej stron złych czy dobrych, wad czy zalet, odkładam na kiedyindziej. Dziś omówie jedynie wartość dwóch ostatnich par słuchowisk.

A wiec pierwsza para — to **„Szeherezada z Madison Square"** wg. noweli **Henriego i „Katastrofa G 33"** wg. **Meissnera.** Treść **„Szeherezady"** można zamknąć w paru zdaniach: bogaty przemysłowiec dostaje oszczerczy anonim, dotyczący jeg ożony, odbywającej podróż dla przyjemności. Zrozpaczony i przygnębiony samotnością, poleca służącemu zaprosić na kolacie któregoś z bezdomnych nędzarzy, oczekujących opodal w kolejce na nocleg, opłaconych z datków miłosiernych przechodni. Lokaj sumiennie spełnia wydany rozkaz. W czasie kolacji okazuje się, że wybrany przez służącego — z kilkudziesięciu bezdomnych — nędzarz, to sławny sprzed paru lat mlaarz - portrecista. O swem życiu opowiada on dziwne zaiste historje.

Oto karjera jego zapowiadała się wprost świetnie: miał niebywałe powodzenie i wielką ilość zamówień na portrety osobstości z najbogatszych sfer. Trwało to jednak dosyć krótko; nagle przestały napływać dalsze zamówienia, a nawet — sporo osób odwołało dane poprzednio. A przyczyna tego? Malarz znalazł ją sam po pewnym czasie: miał niepospolity dar odtwarzania w rysach portretowych osób ich **prawdziwej** duszy. Naturalnie, że u artysty z podobną zaletą, tylko bardzo niewielu ludzi chciało zamawiać swe podobizny. A i tych nielicznych często kompromitował ich własny konterfekt, uwidaczniający to wszystko, co głęboko skryte przed innymi ludźmi, stanowiło ich prawdziwą wartość czy raczej bezwartość. Artyście obdarzonemu czy upośledzonemu podobną cecha, wiodło się coraz gorzej, aż wreszcie wszedł w stały poczet bezdomnych nędzarzy.

Po wysłuchaniu historji malarza, przemysłowiec żąda, by ów z dostarczonej mu fotografji zrobił portret. Portret ten w krótkim czasie jest gotów i bezdomny artysta odchodzi, otrzymawszy sutą zapłatę. Ale dziwna rzecz: przemysłowiec zupełnie nie ogląda zamówionej podobizny. Prosi tylko znajomego a znakomitego artystę - malarza o wydanie sądu o jej wartości. I dopiero usłyszawszy, że przedstawiona na świet nie narysowanym portrecie kobieta, ma wygląd istnego anioła piękności i dobroci, wybucha radościa: sportretowana kobieta to — jego żona, oczerniona zawistnie w anonimie.

**„Katastrofa" G 33"** to słuchowsko naprawdę bardzo piękne, i głęboko wstrząsające: defekt nie do naprawienia zmusza pasażerów i załogę do opuszczenia — na spadochronach z sterowca G 33. Ilość spadochronów jest równa ilości osób lecących na sterowcu. Ale przez nieuwagę pasażerki jeden spadochron **wypada** przez okno. Wśród okropnego zamieszania, zgiełku i strachu wszyscy już wyskoczyli; na pokładzie został jedynie **kapitan, telegrafista** — nadający sygnał S.O.S. — i jego deska ratunku — **spadochron.** Ale w tym bezskutecznie wołajaeym o ratunek człowieku, budzi się litość, duma i rezygnacja: swój spadochron chce odstąpić kapitanowi. Dwaj mężczyźni u wrót śmierci toczą spór, który z nich ma się uratować, a który ma zostać na sterowcu, niepowstrzymanie opadającym. Kapitan swój spadochron dobrowolnie odstąpił nieuważnej kobiecie, a zresztą jego obowiązkiem jest zostać na pokładzie; telegrafista natomiast w szlachetnym odruchu ofiarowuje mu **swój** spadochron. Targi trwają niedługo. Szlachetność, ofiarność i obowiązek ustepują miejsca zwierzęcemu strachowi i biologicznemu popędowi zachowania tylko **własnego** życia. Teraz obaj mają tylko jeden cel: zdobyć za wszelką cenę spadochron. W walce zwycięża kapitan, niepomny obowiązku, uczciwości, szlachetności. Na pokładzie pozostaje telegrafista, w ostatnich chwilach życia słuchający śpiewu swej żony, transmitowanego przez radjo z nocnego kabaretu. Żona jego ma dziś swój ostatni występ, gdyż posada telegrafisty na sterowcu G 33, dawała rękojmię dostatniego zaopatrzenia dla nich obojga.

W **„Szeherezadzie"** zdarzenia rozgrywają się jakby naprawdę na czarodziejskim, baśniowym wschodzie; natomiast **„Katastrofa G 33"** przedstawia brutalną, bezwzgledną rzeczywistość, nie liczącą się z ludzkiemi planami, nadziejami, marzeniami: jest ogromnym, życiowym kontrastem poprzedniego słuchowiska, przypomnieniem, że nie my kierujemy swym losem. A jednak te dwa, tak różne słuchowiska, łączyła pewna wspólna cecha. Oto w obu występowali **tylko i wyłącznie** sami **mężczyźni.** Bo nie liczę tu zupełnie ubocznie potraktowanej pasażerki sterowca, gdyż mimo iż jej nieuwaga była przyczyną nieuratowania się telegrafisty, to jednak w bezpośredniej akcji ona udziału nie brała.

Odtwórcy „Szeherezady z Madison Square" grali bez zarzutu. Natomiast gra Jaracza (telegrafisty) i Samborskiego (kapitana) w **„Katastrofie G 33"** była wprost nadzwyczajna. Ci dwai artyści grali tak sugestywnie, tak szczerze że słowa ich wywoływały w wyobraźni słuchających plastyczne wprost obrazy. I potężne wrażenie jakie robiła ta audycja, w dużej mierze było ich zasługą.

Druga para słuchowisk to **„Głos człowieczy"** wg. **Jean locteau** z **Milą Kamińską** i **„Rekin"** wg. **T. Sygietyńskiego i J. Waldena z Jaraczem.** Ściśle biorąc — były to monologi, jakkolwiek konstrukcja ich z odpowiedniem tłem dźwiękowem dawała plastykę, właściwą kompletnym słuchowskom. W **„Głosie człowieczym"** słyszymy kobietę rozmawiającą z ukochanym, przez telefon. Słowa jej dają nam obraz finału historji miłosnej, trwającej przez parę lat, a którem definitywnem zakończeniem jest właśnie ta telefoniczna rozmowa.

**„Rekin"** to bankier, spekulant, gracz giełdowy. Straciwszy wszystko, pragnie z całych, niespożytych sił, uratować się. Jednak, ograniczone możliwości — zawodzą. Likwiduje więc wszystko, likwidując i siebie. Tym czynem zabezpiecza byt kilku nędzarzom, którzy mu kiedyś **zaufali.**

Tragiczne historje zawarte w tych słuchowiskach jednoosobowych, odtworzone były przez artystów bardzo pięknie. W „Rekinie" znajdowała się druga, drobna i epizodyczna, rola adwokata, która oddana również w formie monologu, nie zaciążyła na właściwej konstrukcji słuchowiska.

Mimo jednak pięknej gry i całej, prawdziwej wartości, słuchowiska te — dzięki pewnej jednostajności — były nieco nużące.

**r. R.**



# Ciekawostki radjowe

**RADJO A POLITYKA**

W wiekszości państw radio podlega ścisłej kontroli rządu, który niejednokrotnie posługuje się niem dla celów swej polityki wewnętrznej.

Najsilniej wpływ ten wyczuwa się w Sowietach, w Niemczech i we Włoszech, gdzie radio służy wyłącznie celom jednej tylko partji.

Francja teoretycznie nie uznaje polityki w radio, co jednak nie przeszkadza że prez. Doumergue przemawiał kilkakrotnie przed mikrofonem, atakując mocno komunistów i socjalistów.

I tutaj nasuwa się jedna uwaga: atakowani nie maja prawa głosu w radjo, nie moga na tej samej drodze odpowiadać ani polemizować.

Kwestję tę rozwiązala Szwecja w sposób bardzo liberalny, w przeddzień ostatnich wyborów.

Oto w dużej sali ustawiono szereg mikrofonów, wokół których zasiedli przywódcy wszystkich partyj, od konserwatystów począwszy, aż do komunistów. Z chwilą załączenia mikrofonów rozpoczęła się dyskusja polityczna, w której zabierali głos wszyscy obecni, bez żadnej cenzury, bez żadnych ograniczeń.

Dyskusja, bardzo ożywiona, miejscami burzliwa, trwała przez czas dłuższy, a zdaniem prasy szwedzkiej przyczyniła się ona znakomicie do uświadomienia politycznego radjosłuchaczy-wyborców.

W podobny sposób postapiło też i radjo angielskie, pozwalając przemawiać przed mikrofonem przedstawicielom poszczególnych partyj politycznych. Rzad zastrzegł sobie jedynie prawo odpowiedzi na przemówienia mówców opozycyjnych.

Tak więc radjo angielskie stało się na czas wyborów wolną trybuną, z której politycy przemawiali kolejno do sześciu miljonów niewidzialnych słuchaczy. Poza okresem przedwyborczym jednak radjo angielskie wyklucza ze swych programów wszelka politykę.

**Rozwój radjofonji angielskiej.** Przed paru zaledwie miesiącami dzienniki angielskie przyniosły wiadomość, iż liczba radjosłuchaczy w Wielkiej Brytanii i półn. Irlandji doszła do sześciu miljonów. Obecnie statystyka wykazuje dalszy wzrost liczby radjosłuchaczy o 376 tys.

**Olbrzymiem** powodzeniem cieszyła się też otwarta w sierpniu br. wystawa „Radio-Olympia". W ciągu dziewięciu dni trwania tej wystawy zwiedziło ją 240 tysięcy osób, a transakcje zawarte na wystawie osiągnęły zawrotną sumę blisko 30 miljonów funtów.

**Teatr radjofoniczny.** Idąc za przykładem innych państw, radjo sowieckie w Moskwie rozpisało konkurs na najlepszą sztukę radjofoniczną z akompanjamentem muzyki. Pierwsza nagroda wynosi ładną sume 10 tysięcy rubli.



**Telewizja w Niemczech.** Na górze Brocken (1140 mtr. wysokości) zmontowano krótkofalową stację nądawczą do transmitowania żywych obrazów. Pierwsze próby przeprowadzone podczas wystawy radjowej w Berlinie, wypadły zupełnie dobrze. Będą one kontynuowane przez całą zimę.

Stacja w Brocken obsługiwałaby przedewszystkiem Berlin, oraz cały szereg większych miast, jak Hanower, Erfurt, Magdeburg, Halle i inne.

Przewidziane jest wybudowanie w przyszłym roku jakich czterech dalszych stacyj telewizyjnych w rozmaitych stronach Niemiec, tak, że mogłyby one ogarnąć cały kraj.

**Radjo w południowej Ameryce.** W Rio de Janeiro odbyła się niedawno konferencja delegatów wszystkich państw południowej Ameryki, na której to konferencji uchwalono założenie południ.-amerykańskiego Związku radjowego. Siedzibą tego związku będzie Montevideo, a zadaniem jego będzie w pierwszej linji podział długości fal na wszystkie radiostacje południowo-amerykańskie.

# „Aprikosenkranz - Untenbaum - Toto"

Gdy warszawski speaker zapowiada w niedzielę swym głebokim barytonem „A teraz łączymy się ze Lwowem skąd nadana będzie za chwilę 'Wesoła Lwowska Fala", każdy prawie ciekaw jest, czy tym razem usłyszy Szczepka i Tońka, Aprikosenkranza i Untenbauma.

Ta pierwsza para, to nasi starzy dobrzy znajomi. Mniej znamy Aprikosenkranza i Untenbauma, choć słyszymy ich prawie co tydzień od czterech lat.

Przed czterema laty ani jednego, ani drugiego właściwie nie było jeszcze na świecie. Był tylko p. Mieczysław Monderer, który zbierał oklaski w zespole „Naszego Oczka" i popularny artysta Adolf Fleischer, który wygłaszał „Rozmaitości" i miewał prelekcje w studjo Polskiego Radja. Z czasem obaj — każdy z osobna zaczęli grać w skeczach „Wesołej Fali", aż wreszcie spotkali się w tryskającym humorem djalogu „Taterniku". Djalog miał wielkie powodzenie, z miejsca zdobył sobie publiczność. Wtedy to właśnie urodziła się rozweselająca nas do dziś nierozłączna para szmoncesowców — sprytny, rozumiejący się na wszystkiem pan Aprikosenkranz i poczciwy, potulny, uznający wyższość swego towarzysza pan Untenbaum.

Gdyby te urodziny zarejestrowano w metryce, to w rubryce „ojciec" figurowałby Juljusz Toto, czyli Wiktor Budzyński, autor „Taternika" i wszystkich następnych szmoncesowych djalogów. Przyznać trzeba, że ten ojciec dumny być może ze swej rodziny, a ta rodzina ze swego ojca, — Aprikosenkranz i Untenbaum to idealni wprost wykonawcy Totowych utworów.

Ciekawa jest ich technika realizowania tekstów szmoncesowych. Po otrzymaniu djalogu od autora odbywają próbę czytaną w gronie kolegów z „Wesołej Fali", oczywiście w obecności Tota. Obaj artyści bardzo są czuli na drobne nawet niedociągnięcia tekstu. Brak silniejszej reakcji otoczenia na którąś z wygłaszanych przez siebie t. zw. kwestyj jest dla nich dowodem, że dane miejsce djalogu nie wywrze na radjosłuchaczach zamierzonego wrażenia. Takie partje kwestyj autor przerabia, lub skreśla.

Djalogi Tota poruszają tematy różne lecz zawsze ciekawe i aktualne. Autor — jak słychać — zamierza wydać je w krótce drukiem i wówczas można będzie dokładnie zdać sobie sprawę z tego, ile w nich tkwi szczerego komizmu. A komizm to pierwszorzędnej marki. Pamiętamy wszyscy, jakie salwy śmiechu wybuchały przy głośnikach, gdy panowie Untenbaum i Aprikosenkranz rozprawiali o kolonjach polskich w Afryce („Tam—tam") lub gdy „oczytany" Aprikosenkranz uciesznie opowiadał swemu towarzyszowi treść powieści Sienkiewicza. Każda interesująca opinję sprawa odbija się w Totowych djalogach jak w krzywem zwierciadle. Gdy na rękawach uczniów i uczenic pojawiły się tarcze z numerami, usłyszeliśmy djalog „Szał numerowy"; gdy w Ubezpieczalniach wprowadzono taksę na pewne lekarstwa, Aprikosenkraz i Untenbaum tłumaczyli nam, że teraz opłaci się chorować tylko na tyfus i cholerę bo to nic nie kosztuje. A czyż nie przezabawne były kłopoty Aprikosenkranza z synem-akademikiem, który przenosić się musiał z wydziału na wydział a w końcu nie miał już gdzie studjować, bo wszystkich jego profesorów zabrała Warszawa na stanowiska ministrów. Trudno wyliczać tu wszystkie djalogi. W każdym z nich pełno rozmaitych aluzyj, ostrych czasem szpileczek i dowcipów, które krążą potem nieraz z ust do ust.

Utarło się zdanie, że aktorzy których występy publiczne wywołują huragany śmiechu, są poza sceną smutni, posępni, zgryźliwi. Jeżeli to jest prawdą, w takim razie Aprikosenkranz i Untenbaum są wyjątkiem z tej reguły: — zawsze uśmiechnięci, pogodnie nastrojeni, i to nie tylko w towarzystwie znajomych, ale i własnych żon. Bo obaj są żonaci. Fleischer — Untenbaum zapomniał już kiedy był kawalerem, a Monderer — Aprikosenkranz wrócił niedawno z podróży poślubnej. Ślub jego zgromadził w kościele ewangelickim setki radjosłuchaczy, ciekawych jak popularny Aprikosenkranz wygląda w roli młodego małżonka.

Dobry humor — to rzecz cenna, zwłaszcza w czasach bezrobocia, bankructw i innych plag, trapiących nas dzisiaj. Wiedzą o tem słuchacze, zasypujący listami tę „Wesołą trójkę", zdaje sobie z tego dobrze sprawę autor djalogów i ich wykonawców. Trójka ta nie zasypia na zdobytych laurach, lecz nieustannie dąży do tego, by jej humor był zawsze humorem wysokiej próby.

# Nieco o pomarańczy

Drzewa pomarańczowe pochodzi z podzwrotnikowej Azji południowej, z okolic leżących u stóp gór himalajskich i z południowych Chin. Z tych krajów hodowla drzew pomarańczowych rozszerzyła się już dawno we wszystkich częściach świata, nawet w krajach klimatu umiarkowanego, leżących bliżej północy.

Rozszerzona hodowla tych drzew przyczyniła się do powstania kilku gatunków pomarańczy po uszlachetnieniu, a właściwie po zaaklimatyzowaniu zwłaszcza chińskiej mandarynki w innych krajach. Zasadniczo istnieją cztery główne odmiany drzewa pomarańczowego, które różnią się między sobą wielkością, kształtem, kolorem, grubością skórki i smakiem owocu, inne zaś odmiany powstały pod wpływem danego klimatu, rodzaju gleby, sposobu pielęgnacji i nawożenia.

Główne odmiany drzew pomarańczowych posiadają własne nazwy w handlu. Pierwszą odmianę, pochodzącą z Chin, nazwano **mandarynką**, drugą **sewilską pomarańczą, odznaczającą** się wybitną kwasotą, trzecia zwie się **bergamotową** i wyrabia się z niej znany olejek bergamotowy, używany dawniej przy wyrobie tabaki bergamotki, wielce ulubionej w Polsce, a czwartą nazwano **zwykłą**, albo **słodką**, nadającą się najpiej do konsumpcji.

W botanice zaliczono pamarańcze do rodziny Rutaceae, a samo drzewo pomarańczowe nosi nazwę naukową Citrus aurantium. Drzewo to odznacza się tem, że jest wiecznie zielone, posiada liście o kolorze i wyglądzie skóry, kwiat zaś jego jest biały i rozsiewa w koło miły i nadzwyczaj silny zapach. Zwykle drzewo pomarańczowe nie przekracza wysokości 10 metrów.

W przyrodzie drzewo pomarańczowe rośnie samorzutnie w krajach o klimacie umiarkowanym, wilgotnym, leżącym niżej do —5 st. C. W takich okolicach pomarańcza owocuje cały rok, daje trzy, a nawet cztery zbiory rocznie, podczas gdy w innych krajach owocuje jedynie w miesiącach letnich i daje często tylko jeden zbiór w roku.

Drzewa pomarańczowe udają się dobrze na ziemi lekkiej, pochylonej ku południowi, dobrze uprawionej i nawodnionej i należycie nawożonej. W każdym kraju, w którym kwitnie hodowla pomarańczy, istnieją liczne szkółki, w których pielęgnuje się sadzonki i z których przesadza się młode krzaczki w przeznaczone miejsca. Wiosną wysadzać można również gałązki pomarańczy nawet na pole, a nietylko do wazonów.

Przed wysadzeniem krzaczków wykopuje się na polu szerokie dołki, głębokie na 60 cm., we wzajemnej odległości od siebie 5 do 10 metrów, zależnie od jakości gruntu i klimatu. Sadzonki względnie krzaczki przykrywa się ostrożnie, bez naruszenia korzonków ziemią, zmieszaną z nawozem i utwierdza lekko na stanowisku.

Pole pomarańczowe ochrania się przed wiatrami i w tym celu otacza się je drzewami, odznaczającemi się rozłożystością. W Afryce otaczają pomarańcze eukaliptusami. Pielęgnacja pól pomarańczowych polega na tem, że dwa razy w roku na wiosnę i w jesieni przeorują się ziemię między drzewami pługiem i nasyca się ją nawozem. Prócz tego młode drzewka w pierwszym i drugim roku wzrostu podlewa się obficie co dwa tygodnie przestała wodą w czasie posuchy. Gdy pomarańcza kwitnie, ogląda się każde drzewo bardzo troskliwie, oczyszcza się je z każdej naleciałości, obcina suche i wątłe gałązki, jak też odrosty dolne, podpiera gałęzie, a ziemię w koło drzewa dokładnie oczyszcza, przerabia i odkaża. Drzewo pomarańczowe jest wielce wrażliwe na wszelkie wpływy zewnętrzne i szkodniki wszelkiego rodzaju, bardzo łatwo zakaża się, a wówczas ulega chorobie.

Dlatego też tylko dobrze pielęgnowane drzewo wydaje już w czwartym roku swego wzrostu owoce. Z początku daje w roku 800 do 1200 sztuk pomarańcz, z latami ilość ta wzrasta do 2.000 sztuk i więcej, a przy dobrej hodowli i pielęgnacji jeszcze w 25 roku życia dostarcza około 3.000 sztuk owocu w roku. Koloniści francuscy w Algierze zbierają z jednego hektara około 3 miljonów, a nawet więcej pomarańcz.

Pomarańcza, zebrana w zupełnie dojrzałym stanie, jest prawie zawsze słodką i soczystą. Z uwagi jednak na to, że konsumpcja miejscowa jest zwykle nieznaczną i olbrzymią większość zbioru przeznacza się na wywóz, zrywa się pomarańcze w stanie na pół dojrzałym, by zdolne były do przewozu. Zebrane owoce muszą się najpierw wypocić, przeschnąć, następnie oczyszcza się je i segreguje według wielkości na kilka sort stosownie do wymogów handlu i ceny. Następnie pakuje się je w skrzynie po 250 do 400 sztuk, a droższy towar zawija się w bibułki i chroni w ten sposób od gnicia i uszkodzenia.

W Europie kwitnie hodowla pomarańczy w Hiszpanji w okolicach Walencji i Sorento, we Włoszech koło Messyny, u podnóża Etny i w Kalabrji, wreszcie na Riwierze francuskiej, na wyspie Korsyce i w Grecji. Rząd francuski popiera bardzo usilnie hodowle pomarańczy w swych afrykańskich kolonjach. — Z początkiem listopada kolonje te zasypują Europę dwoma gatunkami pomarańczy, a mianowicie: pomarańczą kabulską i drugą odmianą zwaną Blidah, które dają owoc duży, prawidłowo okrągły, blado złotawy, bardzo soczysty, o pięknym zapachu, ale często niemile kwaskawaty i suchy.

Chiny wywożą po za swe granice bardzo wielkie ilości pomarańczy małych, prawidłowo okrągłych i smacznych. Również Mała Azja, a zwłaszcza Palestyna wywozi wiele tego owocu, a nawet w ostatnich czasach wyhodowano tam nową odmianę, wielką wprawdzie, ale często niciastą i kwaśną.

W Afryce hodują wiele pomarańczy Tunis, Algier i równina zwana Metidja. W Ameryce kwitnie ta hodowla w Kalifornji i na półwyspie Floryda. W Algierze i w Tunisie rośne dobra odmiana drzewa pomarańczowego, znana w nauce pod nazwą Citrus deliciosa, dająca owoc mały, soczysty i smaczny jak mandarynka. W kraju tym zbiera się pomarańcze trzy razy do roku w końcu października, w grudniu i na wiosnę. Hodowla drzew pomarańczowych zajmuje w Algierze poważną przestrzeń, gdyż około 9.500 ha.

Owoc ten tani wszędzie na miejscu, podlega w każdym kraju, a zwłaszcza w Polsce bardzo wysokim opłatom celnym. Nawet kolonista francuski musi płacić wysokie cło przy wywozie tego towaru do Francji. To też owoc ten nie jest dostępny dla szerokich mas ludności w Europie.

Chodzi więc obecnie o odpowiedź, czy drzewo pomarańczowe może rozwijać się i owocować w naszym klimacie i na polskiej glebie. W dawnych czasach królowie polscy i magnaci urządzali u siebie pomarańczarnie z wielkim nakładem kapitału i pracy. O ile wiemy, nikt nie próbował wyhodować w Polsce polską odmianę pomarańczy, przystosowaną do naszych warunków klimatycznych. — Wprawdzie ogrodnicy polscy uważają tę sprawę za przesądzoną i mówią, że pomarańczowe drzewo nie może w Polsce normalnie owocować, **jednak biorąc pod uwagę najnowsze zdobycze techniki rolnej i możność posługiwania się elektrycznością i sztucznem ciepłem, sądzę, że w pewnych okolicach Polski możnaby przy należytych instalacjach hodować te drzewa, licząc naturalnie tylko na jeden zbiór w roku. W tym wypadku powstałaby jeszcze jedna odmiana pomarańczy,** Citrus polonica.

**Dr. J. SKULSKI**, Inż. roln.

# Galicyjska cenzura

Dzieje cenzury galicyjskiej, wprowadzonej w styczniu 1776 roku, zajmują zgoła niezaszczytną kartę w historji literatury i piśmiennictwa polskiego pod zaborem austrjackim.

Początkowo funkcje te spełniała tzw. Komisja cenzuralna ze siedzibą we Lwowie. Już jednak w roku 1781 scentralizowano i te funkcje we Wiedniu, gdzie utworzoną została Centralna Komisja cenzuralna dla wszystkich krajów wchodzących w skład monarchji austrjackiej, z ekspozyturami rozrzuconemi po wszyst kich większych miastach.

Rok 1810 przynosi inowację: we Lwowie powstaje tzw. „Bücher-Revisions-Amt", zatrudniający cenzora, kancelistę i woźnego. Dla wydawnictw w języku żydowskim istniał osobny cenzor przy tymże urzędzie.

* * *

„Urząd dla cenzury książek" posiadał niemal nieograniczoną władzę, a od orzeczeń jego nie było apelacji. Kontroli jego podlegały wszystkie książki i druki sprowadzane z zagranicy, — jak również wszystkie wydawnictwa krajowe, do sztychów, map i nut włącznie.

Taksamo podlegały kontroli cenzora wszystkie księgarnie i wypożyczalnie publiczne.

Udzielenie pozwolenia na druk („Imprimatur") lub też odmówienie tego zezwolenia („Non admittitur") zależało od fantazji czy dobrego humoru cenzora; nierzadko też szukali pisarze skutecznej protekcji... nawet i u kucharek.

Tak miała się sprawa z „Dumami Polskiemi" Tymona Zaborowskiego. Był wówczas cenzorem radca gubernjalny Bernhard, człowiek dość ograniczony, nie zły nawet, ale zdziwaczały. Nie znosił w rękopisach niewinnego słówka „nawiasem", wietrząc w niem coś podejrzanego, groźnego dla c. k. rządu. Bezlitośnie też skreślał słowa „Polska, Polacy", wstawiając na ich miejsce wyrażenia „kraj, ziomkowie".

Kiedy więc redakcja „Pszczoły polskiej" wręczyła mu do cenzury wierszyk, w którym znalazła się strofka następująca:

> Wdziewajcie bracia żupany,
> zapuszczaj wąsy Polaku,
> ten, kto gromił bisurmany,
> nie wjeżdżał do Wiednia we fraku,

skrupulatny cenzor zmienił Polaka na „ziomka", a Wiedeń na „Paryż"... Oczywiście w tej formie wiersz nie mógł zostać wydrukowany.

Zaborowski zatem, wiedząc, że Bernhard nie chce zgodzić się na wydrukowanie jego „Dum" w „Haliczaninie", zwrócił się do mistrzyni od rondla, cieszącej się wyjątkowemi względami swego pracodawcy.

Interwencja ta pomogła, — cenzor ustąpił.

* * *

Wyjątkową postacią był poprzednik Bernharda na urzędzie cenzora, Wacław Hann. Niemiec z pochodzenia, nauczył się szybko po polsku, a oddany pracy naukowej i literackiej, żył się serdecznie z młodzieżą uniwersytecką, budząc w niej zamiłowanie do literatury. W roku 1792 piastuje godność rektora Uniwersytetu. Miasto Lwów, w uznaniu jego zasług, mianuje go w r. 1811 obywatelem honorowym, ale Hann, złożony z urzędu i pozbawiony pensji, kończy swój żywot niemal w nędzy.

Po roku 1830 cenzura święciła prawdziwe orgje. Celowała w tem policja austrjacka, która cenzurowała nietylko dzienniki i pisma, lecz mieszała się ustawicznie i do spraw, podpadających pod kompetencję urzędu cenzuralnego.

Zwłaszcza odznaczył się na tem polu zastępca dyrektora policji br. Antoni Paumann, przeniesiony następnie do wiedeńskiej centrali.

Wypadki marcowe 1848 roku pociągnęły za sobą zniesienie cenzury. Nie na długo jednak, bo już w listopadzie tegoż roku, z nastaniem rządów reakcji, cenzura odżyła, choć w zmienionej formie. A dała się ona porządnie we znaki współczesnym pisarzom i publicystom polskim, niemiłym rządowi, żeby wspomnieć tylko o wywiezieniu do służby w batalionach karnych Jana Dobrzańskiego oraz o prześladowaniach, na jakie wystawiony był Jan Zacharjasiewicz.

(kr.).

# „Pijany jak Polak"

Utarło się we Francji nie bardzo przyjemne dla nas powiedzenie: „Pijany jak Polak". Nie wszyscy jednak zapewne wiedzą, skąd to poszło i, że początkowo miało znaczenie odmienne od dzisiejszego bo bardziej pochlebne dla nas.

O powstaniu tego powiedzenia opowiada nam w ostatnim numerze „Marianne" znakomity feljetonista p. Pierre Bost w reportażu zatytułowanym „20 dni w Polsce".

Historyjka ta sięga czasów napoleońskich i walk cesarza w Hiszpanji. Otóż gdy oblężenie (prawdopodobnie) Saragossy zbytnio się przeciągało, zniecierpliwiony cesarz polecił zaatakować ją pułkowi polskiemu, którego odwagi i dzielność bardzo mu się podobały. Jednakowoż odpowiedziano mu, że jest to niemożliwe, albowiem polscy żołnierze są kompletnie pijani.

Napoleon, nie zrażony tą wiadomością, utrzymał swój rozkaz.

W rezultacie Polacy zaatakowali Saragossę, z takim ogniem i odwagą że wkrótce ją zdobyli, okrywając się nieśmiertelną sławą.

Od tego pamiętnego incydentu kiedy Napoleonowi mówiono, że żołnierze pewnego oddziału wojskowego zadużo wypili, odpowiadał: „Niech piją, — jeśli chcą; lecz niech będą tak pijani jak Polacy."

ŚWIAT KOBIECY

# Ploteczki o modzie

Wielką zaletą obecnej mody jest to przedewszystkiem, że pozwala kobiecie dostosować ubiór do swego typu. Precz ze standaryzacją! — to hasło Paryża. — Modne jest wszystko, w czem kobiecie najbardziej do twarzy.

Dlatego widzi się na ulicach Paryża setki eleganckich kobiet, każda inaczej ubrana: Żakiety króciutkie i dłuższe, kostjumy tailleur z baskiną lub bez, pelerynki, „capes", płaszcze zupełnie długie i 3/4 długości.

— Tych ostatnich najwięcej, przedewszystkiem do ubrań sportowych. Wełniane, przybrane futerkiem, ozdobione guzikami i klipsami, nierzadko przepasane paskiem skórzanym.

— I oczywiście — coraz więcej futer. Rano futra o krótkim włosie: źrebce, pantera, ocelot.

Peleryny i capes futrzane lub wełniane przybrane futerkiem.

Z ozdobniejszych futer: bobry, wydra, w kolorach naturalnych; baranki, króliki i krety często farbowane w kolorze odpowiednim do całości.

— Suknie spacerowe zapięte wysoko pod szyję. Przy niższych kołnierzach szarfy i plastrony. Spódnica obcisła, lekko rozcięta u samego dołu.

— Efektownie wyglądają bluzki ze srebrnej lamy, przylegające ściśle do biustu; kołnierz niski, okrągły, rękawy długie, zupełnie obcisłe. Całość przypomina jakąś średniowieczną zbroję...

— Niektóre magazyny lansują nowy model woalki, kształtu półksiężyca, zasłaniającej tylko dloną część twarzy, poniżej oczu. Czy dziwaczna ta moda przyjmie się, jest rzeczą bardzo wątpliwą.

— Z klejnotów najwięcej widzi się znów pereł w postaci kolji, bransoletek i djamentów. Obok tego prawdziwe drogie kamienie, przedewszystkiem szafiry. Decyduje tu nie ilość, lecz jakość.

— Kolory dyskretne, harmonizujące z sezonem. A więc w dzień: zieleń oliwek do ciemnych cyprysów i bronz we wszystkich odcieniach. Wieczorem, jak zawsze, dużo czarnego, obok tego ciemna czerwień i modny jeszcze ciągle kolor dojrzałej śliwki oraz niebieski z odcieniem fioletowym.

— Wyroby pasmanteryjne, sznury, kwasty, aplikuje się coraz częściej do przyozdabiania bluzek, sukien i kapeluszy.





Strojna suknia wieczorowa, naszywana suto falbankami.





# Poradnik kosmetyczny

**Skóra tłusta** wymaga zupełnie innego traktowania, niż skóry suche. Posiada ona przytem tę wielką zaletę, że jest bardziej odporna na wszelkie zmarszczki.

Nie można jednak na tłustą skórę stosować żadnych kremów tłustych. Normalnie wystarczy zupełnie dla obmycia i oczyszczenia twarzy ciepła woda i mydło. Woda powinna być miękka a więc dobrze przegotowana. Jeśli takiej wody nie mamy pod ręką, należy do zwykłej wody dodać szczyptę sody (dwuwęglanu sody), — i to tem więcej, im skóra jest bardziej tłusta.

Polecenia godnem jest mydło siarczane, którego używa się naturalnie tylko w miarę potrzeby skoro skóra stanie się normalną, zastępujemy je innem mydłem.

Skoro niezbędnem jest oczyszczenie twarzy np. ze szminki, a woda z mydłem nie wystarcza, można użyć olejku migdałowego. Musi być jednak zupełnie świeży, nie zjełczały, w przeciwnym bowiem razie działa on na cerę niesłychanie szkodliwie.

**Na wydelikatnienie cery** bardzo polecenia godnym jest następujący prosty a nieszkodliwy sposób: Rozkrawamy cytrynę na dwie połówki a po wyjęciu z nich miąższu wywracamy obie połówki skórką do wewnątrz. Następnie napełniamy jej żółtkiem z jajka i pozostawiamy tak w spokoju przez 24 godziny. Po upływie tego czasu przykładamy żółtko na twarz pozostawiając je aż wyschnie.

Twarz obmywa się następnie letnią wodą.

Zabieg ten wystarczy uskutecznić raz na tydzień.

**Opierzchnięcie twarzy i rąk** od zimna lub wiatru najłatwiej usunąć kremem ogórkowym z dodaniem paru kropli wody laurowej i balsamu benzoesowego.

**Niemiłą woń potu** usuwa mieszanina złożona z 3 gr. kwasu mrówczanego, 5 gr. chloralhydratu, 1 gr. balsamu peruwiańskiego i 100 gr. czystego alkoholu 90 %. Mieszaninę tę należy rozcieńczyć trzykrotnie wodą.

Po nasmarowaniu i wyschnięciu zasypujemy pudrem cynkowym.

# Szlafroki i suknie domowe...

Chłody jesiennych dni dały się nam już porządnie we znaki. To też z przyjemnością otulamy się w domu w mięciutki, ciepły szlafroczek, tak doskonale chroniący od zimna, a jednocześnie ładny i miły.

Ażeby w szlafroku czuć się dobrze, musi on być praktyczny, ciepły, a jednocześnie ładny i estetyczny.

Przedewszystkiem kwestja wyboru materjału. W tej dziedzinie nie mamy żadnych trudności, gdyż jest bardzo wiele niedrogich, a ładnych materjałów, które doskonale się noszą. A więc przedewszystkiem wszelkiego gatunku aksamity do prania, welwety, flanele i puszysta angora. Aksamity są przeważnie jednokolorowe, jak również i miękka angora. Flanele we wzory geometryczne i barwne kwiaty.

Szlafrok, w którym pani zajmuje się gospodarstwem domowem, jest zwykle z ciemniejszego materjału i prosty w kroju. A więc małe wycięcie, kołnierz o szerokich klapach, albo zapięty zupełnie pod szyję, wąski pasek, zapięcie na kilka guzików i wąskie rękawy. Szerokie rękawy zupełnie nie nadają się do szlafroka, w którym trzeba wytrzeć kurze, podlać kwiaty i nakryć do stołu.

Strojniejsze szlafroki przeznaczamy na te godziny, w których jesteśmy zupełnie wolne od zajęć gospodarskich. — Wtedy obok szlafroka nosimy także bardzo chętnie suknie domowe, również jak szlafrok wygodne.

Szlafrok czy suknia domowa, jeżeli ma być naprawdę wygodna, powinna mieć formę zbliżoną do tak zwanej „robe-manteau", zapinanej na guziki, lub przewiązane szarfą. Fantazyjne natomiast są rękawy. Najmodniejsze są rękawy trzech czwartych długości, kielichowo rozszerzone, zakończone barwnym wyłogiem, lub oszyte ruszą, klószowo skrojoną i dość sutą. O ile na ulicę ubieramy się ciemno, o tyle w domu możemy sobie pozwolić na jakiś żywy kolor. Modne są odcienie zielone, rdzawy, liljowy „Cardinal" i czerwony „lie de vin".

Różnica pomiędzy szlafrokiem, a suknią domową, dawniej bardzo znaczna, dziś zanika prawie zupełnie, wszystkie bowiem szlafroki zbliżone są w kroju do codziennych sukien. Mało zatem różnić się będzie od szlafroka niemniej ładna suknia domowa, zapięta na ukos na jeden rząd guzików i przybrana asymetrycznemi wyłogami z jasnego materjału. Duża kieszeń nałożona po prawej stronie będzie bardzo wygodna. Niemniej ładny jest fason sukni domowej, wysoko pod szyję podchodzącej, owalnie wycięte, bez kołnierzyka, zapiętej u góry na dwa ozdobne klipsy, a związanej w pasie dość szeroką szarfą. Rękawy kielichowe są trzech czwartych długości.

Dodajmy jeszcze, że zupełnie długie szlafroki, dawniej tak noszone, dziś wyszły zupełnie z mody.

# Peleryna przybrana futrem

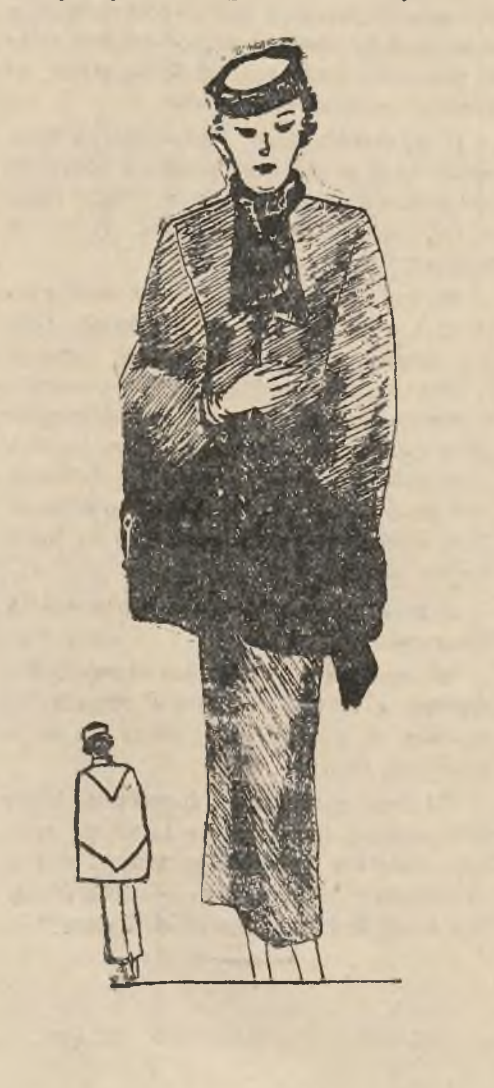
Peleryna taka, „cape" jest bardzo praktyczną a modną i oddać może duże usługi w dni słotne, kiedy zmuszone jesteśmy wyjść do miasta za sprawunkami.

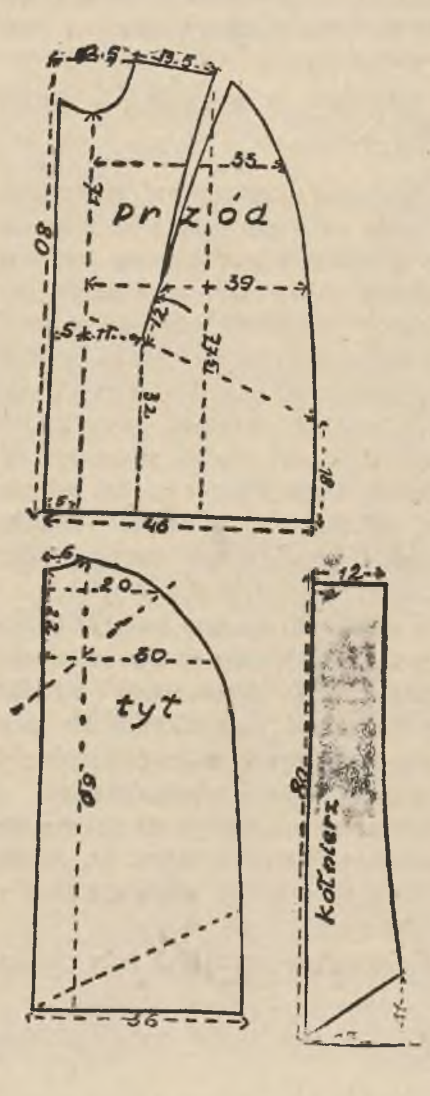
Sporządza się ją z miękkiego, grubego sukna. Na przybranie wybieramy futerko o krótkim włosie, jak baranki, ewentualnie nawet króliki. Można do tego celu zużytkować stare podniszczone już futro, wykrawając z niego odpowiednie kawałki.

Przykroju trzeba zwracać baczną uwagę na możliwie dokładne dopasowanie poszczególnych części, zwłaszcza na ramionach.

Kołnierz okrągły, wycięty pod szyją i zapinany na jeden guzik. Krawatkę futrzaną robi się zupełnie samodzielnie. Jak wysoko naszywamy futerko u dołu, — to już rzecz osobistego gustu.

Wielką zaletą tej „cape" jest i to również, że można ją zrobić z zeszłorocznego, niemodnego już płaszcza.









# Poradnik dla gosposi

**RYDZE KONSERWOWANE NA ZIMĘ W MAŚLE**

½ kg. sklarowanego masła rozegrzać w dużym rondlu, aż się zacznie rumienić. Wrzucić do masła małe rydzyki bez kozonków, starannie otarte lub wymyte i osączone na sicie, posolić i na ostrym ogniu smażyć bez przykrycia; gdy wypruają i nie będzie wcale w nich wody, wkładać gorące do słojów, masło powinno być na powierzchni na palec wysoko obwiązać pęcherzem i przechowywać w chłodnem miejscu.

Biorąc rydze do użytku, wybrać je z masła, zrobić sos śmietankowy, włożyć rydzyki i kilkakrotnie zagotować. Albo też wyrzucić na patelnię wyjęte z masła rydze dodać posiekanej cebuli, podlać śmietaną i zagotować.

**PODPIEŃKI MARYNOWANE**

Wymyć czapeczki w zimnej wodzie wrzucić na osolony wrzątek, raz zagotować, poczem wylać na sito i przelać zimną wodą; gdy ociekną z wody, włożyć do miski, polać mocnym octem, przegotowanym z korzeniami i pokrajaną cebulą wymieszać, włożyć do słoja, wlać na wierzch resztę octu i dodać oliwy aby przykryła podpieńki. Biorąc do użytku, zebrać wpierw oliwę. Podpienki podaje się wprost ze słoja bez żadnej przyprawy.